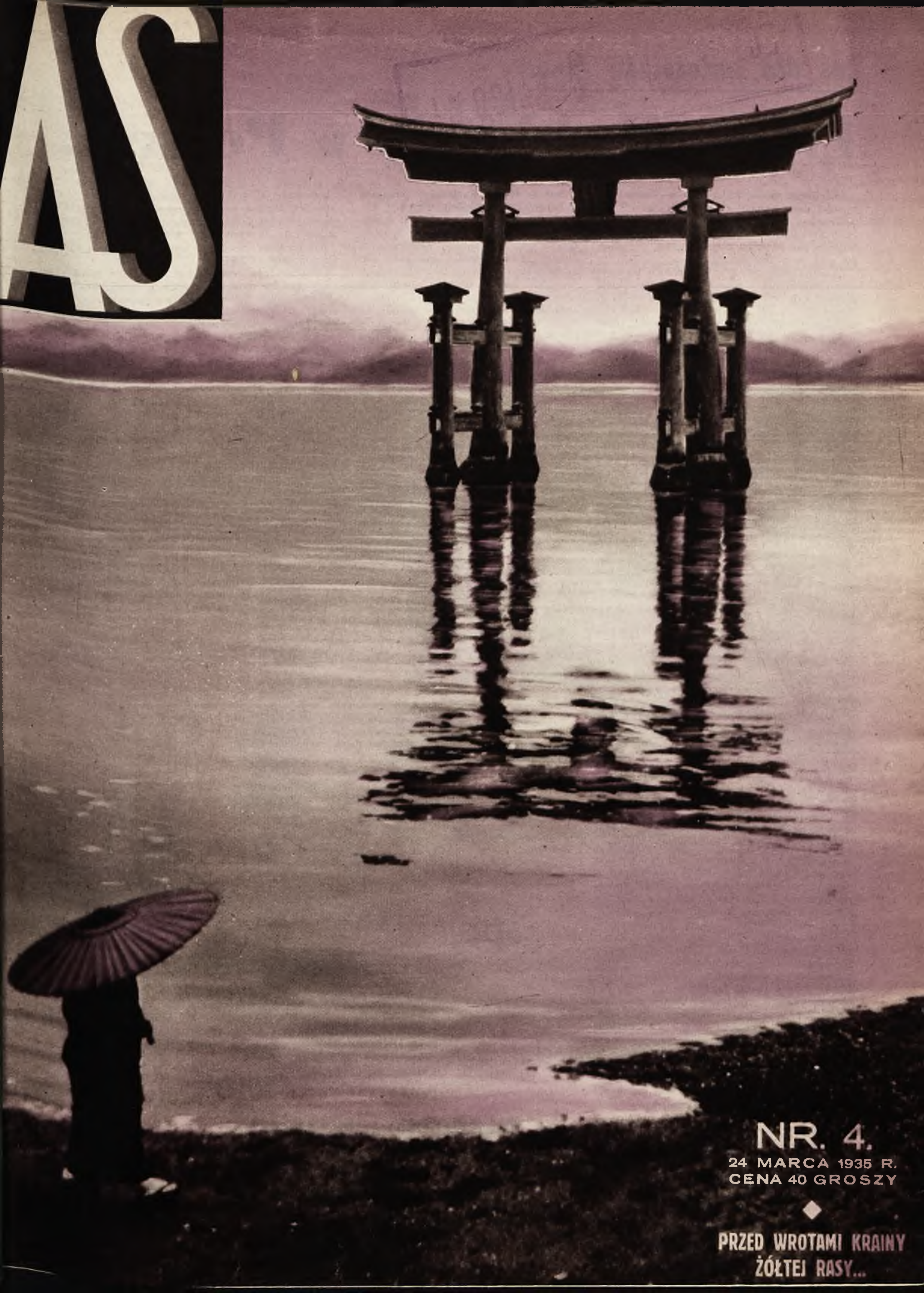
AS



NR. 4.
24 MARCA 1935 R.
CENA 40 GROSZY

PRZED WROTAMI KRAINY ŻÓŁTEJ RASY...

Liana Haid była w Polsce...

Gościliśmy przez kilka dni w Warszawie kwintet doskonałych wiedeńskich „asów" filmu i sceny ze słynną gwiazdą filmową Lianą Haid na czele i skorzystaliśmy ze sposobności, aby od każdego z tych „asów" uzyskać po parę słów dla naszego „Asa".

„Asem atutowym" jest wśród nich wspomniana wiośniana i promienna Liana Haid, idealny typ wiedeńskiej „süsses Mädel", o złocistych lokach i śmiejących się oczach koloru „modrego Dunaju". W futerku z pantery wygląda, jak jeszcze jedna odmiana „kociego" rodu. Obecny przy naszem powitaniu dawny partner Liany Haid z czasów wiedeńskich nazywa ją:

— Słońce w skórze drapieżnika...



Na zdjęciu grupa artystów wiedeńskich, która występowała w Polsce w sztuce „Księżniczka na drabinie". Od lewej: Felix Bressart, Oskar Karlweiss, Liana Haid, Hortenzja Raky i Hans Unterkircher. Fot. „As".

— Określenie twoje jest niepozbawione podstaw — mówi Liana — bo rzeczywiście urodziłam się w połowie sierpnia, a więc pod znakiem Lwa, a wiadomo, że wszystkie kobiety, urodzone w tym czasie wielbią słońce, są słoneczne i słońcem promieniują... Staram się czynić to samo. Kocham słońce...

— I co jeszcze?

— Film, teatr...

— A poza niemi?

— Szalony pęd samochodu, który sama prowadzę i przemierzam z szybkością do 140 klm. na godzinę wsie i miasta, siejąc panikę i postrach między mieszkańcami moją małą, lecz sprawną maszynką, rozkosznem stworzonkiem, wiernem mi, jak pies, znoszącem cierpliwie wszystkie moje kaprysy i nie psującem się, choć ja je psuję mojemi pieszczotami...

— Pozazdrościć temu samochodzikowi...

— Raczej... starać się na to również zasłużyć, skoro się tego tak pragnie...

— Czem możnaby?

— Niczem. Poprostu trzeba być takim, aby móc zdobyć moje względy...

— Trzeba być pewnie amantem filmowym lub scenicznym?...

— Wystarczy... życiowym...

— A to mi docięła — odzywa się obecny przy naszej rozmowie partner Liany w sztuce, którą tu grała.

Jest to Oskar Karlweiss, przemiły wytworny młodzieniec, który był kiedyś jednym z „Trzech ze stacji benzynowej", a obecnie jest „asem" wiedeńskiego teatru „An der Josephstadt". Znamy go również z filmu „Dwa serca w takcie dwie-trzecie". Opowiada:

— Nie jestem, niestety, partnerem „życiowym" Liany, ale zato scenicznym. Już od czterech lat, t. zn. od premjery berlińskiej gram z nią tę „Księżniczkę na drabinie". Przedstawień było kilkaset, więc ostatnio zaczynamy już nawet grać bez suflera... — dodaje ironicznie.

— Czy pan ma takie same poglądy „życiowe", jak pańska urocza partnerka?

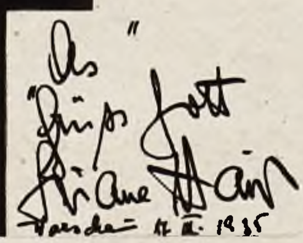
— Niech panu wystarczą za odpowiedź tytuły następnej mojej sztuki i następnego filmu: „Ostatnia miłość" i „Wszystko dla kobiety".

To rzekłszy, spogląda marzycielsko na prawo... Czegóż tam szuka?

Widzimy, że wyłania się z klatki schodowej i zmierza ku nam zachwycające młode dziewczątko, obdarzone prawdziwie nowoczesną, oryginalną urodą, wysportowanej „girl", nie w sensie tanecznym, choć, jak się następnie dowiadujemy z rozmowy z cudnem dziewczątkiem, rozpoczęła swoją karjerę artystyczną właśnie w zespole „girls". Nazywa się Hortenzja Raky, ma 18 lat, była tancerką zespołową, a dziś jest już czołową artystką wiedeńskiego teatru Reinhardta, gra w komedjach, a nawet dramatach. W Warszawie grała rolę, kreowaną w polskiej wersji przez Zimińską. Ozdabia ją tańcem i swemi oszałamiającemi strzelistemi... nóżkami... Jest w przeciwstawieniu do Liany Haid bardzo małomówna.

Tuż za nią przybywa Fritz Bressart, wysoki brunet, znany nam z filmu „Bal w Savoyu", gdzie kreował rolę sekretarza Gitty Alpar, oraz był partnerem Mary Glory w „Sekretarce osobistej" i jego kolega Hans Unterkirchner, partner filmowy Janningsa i słynnej Priscilli Dean. Rozmowa toczy się teraz na rozmaite tematy... Wtem gong obwieszcza, że czas już iść na obiad. Zgłodniała gromadka artystyczna pędzi do stołu, a ja spieszę do redakcji, aby to wszystko czemprędzej opisać...

H. L.



Autograf Liany Haid, który skreśliła aktorka dla naszego Magazynu.

ILUSTROWANY MAGAZYN TYGODNIOWY

WYDAWCA: SPÓŁKA WYDAWNICZA „KURYER" S. A.
REDAKTOR ODPOWIEDZIALNY: JAN STANKIEWICZ.
KIEROWNIK LITERACKI: JULJUSZ LEO.
KIEROWNIK GRAFICZNY: JANUSZ MARJA BRZESKI.
ADRES REDAKCJI I ADMINISTRACJI: KRAKÓW, WIELOPOLE 1 (PAŁAC PRASY). — TEL. 150-60, 150-61, 150-62, 150-63, 150-64, 150-65, 150-66.
KONTO P. K. O. KRAKÓW NR. 400.200.

AS

ILUSTROWANY MAGAZYN TYGODNIOWY

CENA NUMERU GROSZY 40
PRENUMERATA KWARTALNA 4 ZŁ. 50 GR.

Numer 4 **Niedziela 24 marca 1935** **Rok I**

ASY NUMERU 4-GO:



Fot. „AS"

W ubiegły wtorek, jako w dniu imienin Marszałka Józefa Piłsudskiego stolica nasza przybrała odświętną szatę. Jednym z przejawów uroczystego nastroju była iluminacja poszczególnych budowli miasta. Na zdjęciu efektownie oświetlony pałac Ministerstwa Spraw Zagranicznych.



HALLO!



Amerykański bokser Steve Hamas z małżonką w Berlinie.



Sztab greckich powstańców, który schronił się w Bułgarji.

CZY MÓWI

— Hallo — czy Zakopane — proszę do telefonu — pannę Halinę.

— Kogo...

— Pannę Halinę... — h — jak chata — według nowej pisowni. A — jak Alina, L — jak Lina, I — jak Ina...

— Panie... panie... czy my mamy cztery słuchawki, aby te wszystkie panie jednocześnie rozmawiały...

— Ależ ja proszę tylko pannę Halinę... no tę blondynkę...

— Blondynkę powiada pan — bo u nas są dwie — jedna jest brunetka — a druga blondynka... Więc tę jasną...

— Najjaśniejszą... ach to pani panno Halino — jak się pani głos zmienił... a propos zmienić — czy pani wie, że zmieniamy konstytucję...

— Nie...

— Właśnie Marszałek pojechał do Wilna, aby...

— Acha, żeby się rozwieźć z tą dawną konstytucją... ale dlaczego nie uchwalili jej na 19 marca.

— Marszałek nie chciał sobie psuć imienin... zresztą świętego Józefa obchodzi się raz na rok, a konstytucję cały rok...

— To ciekawe... pan jest bardzo miły...

— Pierwszy raz mi to pani mówi... — co ja to chciałem powiedzieć — Niemcy złamały traktat wersalski...

— No pewnie, jeśli Europa obchodziła się z nimi tak po wersalsku...

— Wprowadziły powszechną służbę wojskową... 1 kwietnia odbędzie się pierwszy pobór rekruta.

— A może to tylko „prima aprilis"...

— Nie, Niemcy nigdy nie żartują. Ale my się nie boimy — popierajmy sport, a damy sobie rady z Niemcami w każdej rozgrywce... Ostatni mecz hockejowy Cracovii w Berlinie zakończył się wynikiem remisowym.

— Hockey — no dobrze, ale skąd Niemcy wzięli lód...

— Proszę pani — niech pani będzie łaskawa zapamiętać, że dziś świat jest tak sportowy, iż sztuczną przyjaźń, najlepiej podtrzymuje się na sztucznym lodzie... Ale.. ale... Czy pani wie, że na 19 marca puścili w Warszawie balon... to napewno taki próbny „balon przedkonstytucyjny"... oni zawsze to robią...

— Pan tylko o polityce — niech pan mówi coś o naszej miłości.

— Jak się pani zmieniła panno Halino — pani jest tak jak ta bohaterka tego szlagieru operowego „Konstytucja zmienną jest"...

— Pan znowu... niech pan coś powie o małżeństwie...

— Goering się żeni...

— On pewnie wpadł w Białowieży na ten pomysł... jak zobaczył tyle rogaczy... Ale trudno, przykład działa. A ta narzeczona.

— Stara rodzina — Emma Sonnemann — rodzina stara jak słońce. Gdy jej ktoś powiedział: „Wszyscy pochodzimy od Adama i Ewy" wzruszyła ramionami i mówi: „My pochodzimy z innej linji"... Przecież Ewa była prabaką Sema...

— Sema-deniego?...

— Ach pani tylko o ciastkach myśli... Sema... syn Noego?

— Noe... przypominam sobie... ten z komitetu powodziowego...

— Ależ nie — potop...

— Już wiem — to ten bohater Sienkiewicza...

— Nie z arki...

— A widzi pan, zawsze mówiłam, że Żydzi wywołali potop... Ten Noe napewno był ubezpieczony przed powodzią... Ale a propos katastrofy żywiołowe — jak długo może trwać układanie takiej konstytucji.

„Hallo — trzy minuty! czy mówi się dalej?...

— Proszę pani, żeby pani wiedziała czego się nie mówi... Ale niech stracę... Chociaż w takich czasach — co my jeszcze mamy do stracenia...

— No cierpliwość...

— Nie proszę pani. Mamy taki trening... ubezpieczalnie... komornicy... urzędy skarbowe... motoryzacja... Ale czy pani wie, że w Ubezpieczalni warszawskiej urządzony będzie — dancing... To jest myśl — dawniej lekarze tańczyli koło każdego pacjenta, a teraz pacjenci będą tańczyć... Byłem wczoraj w takiej Ubezpieczalni — „Chory jestem mówię". — „Na co? — pyta mnie lekarz"... „Nie wiem". — A wtedy lekarz wpada w złość i mówi: „Czy ja jestem jasnowidzem — zgadywać będę.... ciuciubabką będę... — niech pan idzie do domu i postawi sobie djagnozę. — Jeśli choroba jest uleczalna, to może się co zrobi"...

— No i co?

— Dziś rano przyszedłem drugi raz i mówię „Panie doktorze — ja mam piasek w nerkach". A on na to. — „A pan pewnie chce, żebym panu z tego złoto zrobił.. co"... Dziś nie mogę rozpocząć pańskiego leczenia. Starża Dzierzbicki pisze, że dzień dzisiejszy nie nadaje się do ryzykownych przedsięwzięć... Wychodzę — i co widzę, pędzi mój przyjaciel Miś. — „Dokąd się



Emma Sonnemann, narzeczona ministra Goeringa.

HALLO!



Flip i Flap po 7 latach wspólnej pracy filmowej rozeszli się.



SIĘ DALEJ?

tak śpieszysz". „Lecę na ślub". „Ależ Starża mówi, że dzień dzisiejszy nie nadaje się do ryzykanckich przedsięwzięć". Miś patrzy na mnie. „A niech tam — kto nie ryzykuje — ten jest kawalerem.

— Pan jest przeciwnikiem małżeństwa...

— O nie — są rzeczy o wiele gorsze, naprzykład bigamja. Tylko niestety dzisiejsze małżeństwa nie są trwałe, jak dawniej. Dziś małżeństwo trwa najwyżej...

„Sześć minut! czy mówi się dalej".

— Nie.. potem już małżonkowie nie mają sobie nic do powiedzenia, a wszystko do wyrzucenia... Ale mówmy o czemś weselszem — Venizelos jedzie do Neapolu...

— Ach Neapol... pan mi zawsze przypomina Wezuwjusza — pan zawsze taki czynny, taki wybuchowy.

— Pani mnie psuje — panno Halino... wogóle nie poznaje pani...

— Pan też jest dziś jakiś inny. — Ale co słychać w „Europie"...

— Belgja wystąpiła z bloku złotego...

— Ale — ja myślę o „Europejskiej"...

— W „Europejskiej" twierdzą, że my nie ustąpimy — do ostatniego złotego pozostaniemy w „złotym bloku"...

— Blok — to ta wytwórnia filmowa...

— Nie... blok też czasami kręci — ale to nie ten — do bloku złotego należą państwa, które mają złoto i chciałyby mieć złoto... U nas jest wysoka stopa procentowa i niska stopa życiowa. Wogóle prowadzimy życie — jak Jadwiga — na kurzej stopce życiowej...

— Pan dziś jest pesymistycznie nastrojony...

— No bo proszę pani — dowiedziałem się, że Laurel i Hardy rozeszli się. Flip i Flap. A więc najbardziej „dobrane małżeństwo filmowe" na świecie. I wierzyć tu dziś w czyją stałość... Flip skarżył się, że Flap go bije.

— Ten maleńki Flap...

— Wogóle rozwody są dziś na zachodzie w modzie. Księżna Mdivani. —

— Pola Negri?

— Nie — to jedna z jej następczyń... Barbara Hutton, ta co to odziedziczyła 20 miljonów dolarów — nazywają ją „Księżniczką dolarów"... Otóż rozwodzi się i wstępuje do istniejącego w Nowym Jorku „Klubu byłych księżnych Mdivani"...

— Tak... tak gdzie są te czasy, kiedy żona była jak omega...

— Nie rozumiem...

— Na całe życie... To okropne... — Chwała Bogu, że u nas jest lepiej...

— Wobec tego proszę panią o jej rękę...

— Z przyjemnością... kiedy ślub?

— 13 maja — to jest dzień śmiałych i niebezpiecznych przedsięwzięć... to co się w tym dniu zacznie — jest zazwyczaj bardzo trwałe... 13 maja rozbiłem sobie na naszej autostradzie maszynę i dotychczas trwa jej naprawa... wogóle nasze autostrady — przypominają mi piekło — są też tylko dobremi chęciami wybrukowane... Mimo to trzeba motoryzować — ale czy pani wie, że obecnie po „obniżce" cła na motocykle — cło jest wyższe niż było w roku 1933... Wtedy płaciło się 102 złote za 100 kg., a teraz 250 zł.

— Bardzo słusznie, mamy zbyt kiepskie drogi, aby nam je jeszcze samochody i motocykle niszczyły...

— Ale mej drogi życiowej już nic nie zniszczy...

— Panie Kaziku — najdroższy — więc kiedy nasz ślub?

— Jaki Kazik... co za Kazik... Kim pani jest? Ja prosiłem pannę Halinę... ja pani nie znam.

— Więc to nie ty Kaziku... zresztą niech będzie. Niech mi pan powie prędko, jak się pan nazywa i gdzie będzie nasz ślub.

„Na policji — pan skończy panie Liwszyc — odda pan moje ciężko wyłudzone pieniądze"...

— To omyłka... tu się mówi o ślubie...

„Ja panu poślę świadków... panie Liwszyc... którzy wszystko widzieli"...

— Niech pan się wyłączy...

„Sędziego pan może wyłączyć... ja jestem pański wierzyciel"...

— No chwała Bogu — już się wyłączył... Więc pani nie jest panną Haliną — mojem „blond marzeniem"...

— Już jestem przy aparacie... widzi pan — zaszła pomyłka. Tu są w pensjonacie dwie Haliny — i właśnie druga utleniła sobie włosy...

— A pani?

— Ja wróciłam do swego efektownego hebanu... Dla pana chcę być czarną... Pan cały czas rozmawiał z moją sąsiadką... A to świetne... Nie, mowy niema... Nie oddam panu mej ręki...

— Będę czekał wieki i...

„Dziesięć minut"... rozmowę przerywam.

MIKROFON.

AS reporterów o sobie...

Dwóch konkurentów spotkało się w Warszawie. Dwóch dziennikarzy, pretendujących do tytułu „króla reporterów“: Hubert Knickerbocker i jego rywal Jules Sauerwein.

W stołecznej centrali prawdziwych i fałszywych wiadomości, tam, gdzie rodzą się wszelakiego rodzaju sensacje... i plotki — miałam sposobność rozmówienia się z „asem reporterów“. W „Europie“ siedzi Knickerbocker wraz ze swoją uroczą małżonką w towarzystwie kilku panów, których poznał podczas swego poprzedniego pobytu w Warszawie.

Rozmowa toczy się na temat stosunków polskich i z uwag, które rzuca Knickerbocker dowiadujemy się o celu jego pobytu w Polsce.

— Przybyłem do Polski — mówi Knickerbocker — by zbadać „standart“ życiowy w byłej Kongresówce. Pragnę bowiem pisać na temat panującego „standartu“ życiowego w krajach, które dawniej należały do Rosji carskiej w porównaniu z „standartem“ życiowym w Sowietach. „Zrobiłem“ już Litwę, Łotwę, Estonję i Finlandję...

Korzystam z przerwy, która powstała w rozmowie i wtrącam „moje pytanie“:

— Może powiedziałby pan coś o początkach swojej karjery, dlaczego pan został dziennikarzem, co zadecydowało o powodzeniu pana?

— Chętnie na to odpowiem.

— Do obrania mego zawodu skłonił mnie brak pieniędzy i niech pani nie wierzy, jeżeli kiedykolwiek jakiś dziennikarz o to zapytany poda pani inne motywy. Rozpocząłem swą pracę jako „cub-reporter“. Termin ten nie jest w Europie znany. Otóż „cub“ oznacza dosłownie młodego niedźwiadka, zaś nazwą „cub-reporterów“ określają początkujących w tej dziedzinie, którzy swemi nieudolnemi poczynaniami przypominają małe niezgrabne, dopiero uczące się stawiać pierwsze kroki niedźwiadki.

Pracowałem wtedy dla gazety „Morning Ledger“ w Newark (New-Jersey). Jest to najgorszy dziennik w całej Ameryce, którego właściciel jest łotrem i łajdakiem. — Proszę, żeby pani to koniecznie zamieściła.

— A co będzie, jeżeli ten pan zaskarży mnie o obrazę czci.

— Niemożliwe, on honoru nie posiada — odpowiada Knickerbocker. — Zresztą biorę odpowiedzialność na siebie.

— Mąż mój na punkcie tego człowieka jest specjalnie zawzięty — wtrąca rozbawiona pani Knickerbocker.

— W gazecie tej pracowałem niestety, aż dwa lata — ciągnie dalej „as reporterów“. — Odgrywałem tam rolę „dziewczyny do wszystkiego“. Potem pojechałem do Nowego Jorku, gdzie wówczas jeszcze w organie konserwatywno republikańskim w „New York Evening Post“ zostałem reportem miejskim. Zadaniem mojem było pisanie o wszystkich wydarzeniach w jednej z nowojorskich dzielnic. Musiałem się więc interesować w równej mierze wytwornemi przyjęciami, zgonami, bójką dwu nożowników i uszkodzeniem kanału...

— Następny etap mej pracy — to stanowisko „re-writmana“ w New-York Sun. Wielkie emerykańskie dzienniki w rodzaju New-York Sun wydają od godziny 9-tej do 17-tej co godzinę nowe wydania, by dawać czytelnikom stale najświeższe wiadomości. To tempo pracy uniemożliwia dziennikarzom równoczesne zbieranie wiadomości i pisanie ich; dlatego sztab redakcyjny jest podzielony. Wiadomości zbierają t. zw. „leg-men“. W redakcji zaś przy telefonach siedzą „re-writmeni“, którzy wiadomości otrzymane telefonem odrazu piszą w formie gotowej do druku. Często „re-writmeni“ muszą w ten sposób opracowywać „ex abrupto“ także poważne artykuły. Następne moje zajęcie — to stanowisko profesora w dziennikarstwie na uniwersytecie w mem rodzinnem mieście, w stanie Texas.

— Po kilku latach takiej pracy nareszcie miałem dość pieniędzy, by urzeczywistnić swe dawne marzenia. Udałem się do Europy, gdzie w Berlinie, Monachjum i Wiedniu studjowałem medycynę. Po roku pieniądze skończyły się i musiałem wrócić do dziennikarstwa. Pracuję od tego czasu dla „International News Service“. Z tego czasu pochodzą reportaże o Rosji sowieckiej i Niemczech. Dzień wydania mojej pierwszej książki o Rosji uważam za decydujący w mojej karjerze. Widząc jej powodzenie mogłem sam sobie powiedzieć: „Zwyciężyłem!“

— Kiedy przeżywał pan największą emocję — zapytałam.

— Zadała mi pani pytanie, które w wywiadach robionych ze mną padło po raz pierwszy. Tem chętniej na nie odpowiem.

— Największą emocję przeżyłem w czerwcu 1927 roku. Dnia sobie nie przypominam. Było to o północy, znajdowałem się w samolocie nad morzem Północnem. Dwa samoloty niemieckie „Europa“ i „Bremen“ wyruszyły na podbój Atlantyku. Byliśmy więc pierwszymi, którzy po tragedji Coli i Nungessera próbowali dokonać przelotu z Europy do Ameryki. Wystartowaliśmy z Dessau, gdzie znajdują się fabryki Junkersa. Leciałem jako pasażer „Europą“ i siedziałem w tyle za tankami benzynowymi. Na przodzie znajdował się pilot i mechanik. Wokół nieprzenikniona ciemność, słychać tylko warkot motoru. Nagle



Hubert Knickerbocker.

pukanie w tanki i pilot podsuwa mi karteczkę, którą oświetlam lampką kieszonkową: „Musimy wracać. — Motor zepsuty“.

— Nie potrafię wypowiedzieć wszystkiego co w tej chwili przeżyłem. Straszne rozczarowanie, lęk, nieprzyjemne przeświadczenie, że z tej opresji żywy już nie wyjdę. Wydawało mi się rzeczą nieprawdopodobną, by pilot w tych ciemnościach znalazł drogę powrotną, a zresztą ulecieliśmy już spory kawał i wątpiłem, czy zepsuty motor pozwoli nam dotrzeć do stałego lądu. Przed oczyma stanął mi tragiczny los Coli i Nungessera. Wydawało mi się już — że umieram... — i z tego przemęczenia, tej emocji i rozczarowania... zasnąłem.

Gdy obudziłem się byliśmy już nad lotniskiem w Bremen. Jakimś cudem pilot znalazł w ciemnościach drogę. Tu nastąpił drugi dramatyczny moment. Mieliśmy ze sobą jeszcze 2000 kg niezużytej benzyny, lądowanie z tym zapasem groziło rozbiciem samolotu. Należało więc opróżnić tanki. Wtedy jednak mielibyśmy na pokładzie jednego trupa, a mianowicie — mnie. Nim bobiem wyciekłaby ta ilość benzyny, niewątpliwie otrułbym się jej wyziewami.

Wybraliśmy mniejsze zło i nadmuchawszy gumowe poduszki, któremi obłożyliśmy się postanowiliśmy lądować. Na szczęście obeszło się bez żadnego wypadku. Wraz z nami zawrócił również samolot Bremen. Lecący nim kapitan Koehl, jako pierwszy lotnik dokonał przelotu Europa — Ameryka, wystartowawszy potem z Irlandji.

* * *

Na tem skończyła się rozmowa i wywiad. Państwo Knickerbocker, wychodząc z „Europy“, wzbudzają podwójną sensację. On jako światowa sława, niemniej jednak jego małżonka, która nie bez słuszności zdobyła sobie w Warszawie reputację jednej z najpiękniejszych kobiet. Po godzinnej przejażdżce po Warszawie wracają do hotelu. Wieczorem bowiem państwo Knickerbocker mieli spotkanie z Sauerweinem przy... kolacji.

C. L.



DWA ŚWIATY...
Cienie przeszłości na horyzoncie nowoczesnej techniki...

Czy słyszycie? Poczta jedzie!
Ciągną ją koniki dwa,

A pocztyljon tuż na przedzie,

Taką sobie piosnkę gra:
Trara, rara, trarara, trarara...



Pocztyljon z czasów Fryderyka Wielkiego.

Dawne, dawne to były czasy, gdy piosenka ta, trąbiona przez pocztyljona konnego wehikułu, rozwożącego pocztę i podróżnych z miasta do miasta, rozlegała się wśród gór i lasów, docierając do każdej wioski przydrożnej. Powtarzali ją sobie starzy i młodzi, a pocztyljon w wysokich lakierowanych butach, białych spodniach, granatowej bluzie z czerwonym kołnierzem z dźwięczną trąbką w jednej ręce, a pełnym fantazji biczem w drugiej, w lśniącym cylindrze na głowie, był ideałem wszystkich młodych dziewcząt.

W owych czasach gdy lśniące węże szyn nie przecinały jeszcze dalekobieżnemi skrętami rozległych pól i lasów podróżowali we własnych karocach tylko możni tego świata. Zwykli śmiertelnicy — a byli między nimi muzycy, literaci, kupcy, drobna szlachta, jadąca w odwiedziny do krewnych, młode dziewczęta i młodzi chłopcy, śpieszący na naukę, lub do rzemiosła — posługiwali się tylko wozem pocztowym, zaprzężonym w dwa, lub cztery rącze konie, zmieniane na oznaczonych etapach. Melodja trąbki pocztyljona dawała natchnienie wielkim muzykom i poetom. Instrument ten był później uważany za synonim dawnych, zawsze „lepszych", bo minionych czasów.

Tak wyglądało zaranie poczty, zanim transportowano pasażerów, przesyłki i listy w wagonach, ciągnionych przez maszynę parową, autobusach i samolotach. Nie było wówczas jeszcze jednego rekwizytu, cechującego rozwój poczty współczesnej, a mianowicie znaczka pocztowego, niezbitego dowodu, że adresujący opłacił należną opłatę za transport listu. Zdawałoby się, że wynalazek marek pocztowych sięga czasów powstania samej poczty. Tak jednak nie jest. Marki pocztowe w właściwem tego słowa znaczeniu istnieją dopiero od 95 lat.



Mauritius 1847, czerwony (wartość: 120.000 zł.).



Hawaii 1851 (wartość: 100.000 zł.).



Angielska Guiana 1856 (zakupiona za 7.343 funty).



Mauritius 1847, niebieski (wartość: 200.000 zł.).



Mołdawia 1858 (wartość: 36.000 zł.).



Posłaniec berlińskiej poczty kupieckiej z r. 1800.

Gdy w roku 1840 pojawiły się pierwsze listy angielskie z markami po jednym pensie i dwa pensy, przedstawiające głowę królowej Wiktorji, oburzył się cały świat. Jakto? Pieczątka będzie przybijana na podobiźnie monarchini? Cóż to znowu za rodzaj demokratycznych wyskoków? Ależ to istny „crimen laesae majestatis!"

Lecz wynalazek ten okazał się bardzo praktyczny tak ze względu na propagandę rządów mądrej królowej, jak i ze względów czysto praktycznych. Już w kilka lat później naśladowała ten zwyczaj Szwajcarja, następnie kolonje brytyjskie, a z państw europejskich pierwsza Bawarja. Za nią poszły inne kraje, jak Austrja, księstwo Baden, Rumunja, Saksonja, poszczególne księstwa Rzeszy i t. d. Dzisiaj są okazy tych marek z połowy ub. stulecia bardzo rzadkie i temsamem bardzo drogocenne. W roku 1850 liczył świat 64 znaczków pocztowych poszczególnych państw, w dziesięć lat później było ich już 700, w roku 1870 około 1.600, a dzisiaj mamy 65.000 znaczków pocztowych różnych państw i różnych rodzajów komunikacyj, począwszy od kolejowej, a skończywszy na lotniczej. Niektóre zbiory marek są tak cenne, że mają swoje sensacyjne kroniki i są strzeżone jak zbiory klejnotów przez specjalnych detektywów. Filatelistyka jest dzisiaj przedmiotem nietylko rozrywki i namiętności zbieraczy, ale także jest źródłem poważnych dochodów wielkich firm.

Największe zbiory marek posiadają zbieracze amerykańscy, a w Europie król angielski Jerzy V, który ofiarował swój jako upominek ślubny najmłodszemu swemu synowi, księciu Kentu.

W Polsce filatelistyka ma dziesiątki tysięcy miłośników zorganizowanych w swe związki i kluby. Ministerstwo Poczty ze swej strony popiera i krzewi gorąco te zamiłowania.

M-a.



akta nr. 345/34S

NOWELA

ILUSTROWAŁ K. PODSADECKI

„W Archiwum Ossowiachimu w Moskwie, wśród rozlicznych teczek, opatrzonych różnymi numerami, znajduje się także czarna teczka, a w niej kilka kartek zapisanego papieru.

Akta te oznaczone są nr. 345/34 S...

— — — — — — — — — — —

Był to mroźny poranek styczniowy w r. 1928. Moskwa zakrzepła w śniegu i mrozie.

— Muszę rozmawiać osobiście ze Stalinem! — oświadcza młody student kolejno wszystkim podejrzliwym wartom i strażom, aż wreszcie zdołał dostać się do pokojów, w których pracowali najbliżsi towarzysze dyktatora Czerwonej Rosji.

Nie pomogły tłumaczenia, powoływania się na rozkazy, na regulamin. Student przedstawiał różne wiarygodne dokumenty, dał się dokładnie zrewidować, a wkońcu oświadczył:

— Muszę rozmówić się osobiście z wodzem, gdyż mam mu do zakomunikowania rzecz niezmiernie ważną. Na wypadek walki ze zgniłym Zachodem mogę przeciwstawić coś, co da nam zdecydowane zwycięstwo.

Nareszcie dostał się przed oblicze Stalina.

O czem rozmawiał dyktator z młodym człowiekiem — nikt się nie dowiedział. Chodziły tylko pogłoski, że student ów, chemik, jest Polakiem, że opuścił Polskę pochłonięty ideami propagowanemi przez Sowiety.

Minęło kilka miesięcy.

W odległości kilkunastu kilometrów od Moskwy znajduje się przedmieście Sokolniki. W istniejących tam zabudowaniach fabrycznych, poczyniono przy pomocy specjalnie zorganizowanego sztabu inżynierów, różne adaptacje, zmontowano aparaty i maszyny, a wkońcu, gdy przybył student Polak, rozpoczęła się tajemnicza a gorączkowa praca.

Dokoła fabryki rosły zielone drzewa, a daleką przestrzeń otoczono wysokim murem i kolczastemi drutami. Naokoło stały straże, a nad bramą wjazdową wypisany był wielkiemi literami napis:

„Wejście surowo wzbronione pod karą śmierci — wartownicy strzelają do każdego, kto zbliży się na pięćset metrów".

Między bramą a wejściem do zabudowań fabrycznych ciągnęła się pusta przestrzeń. Wszedłszy do gmachu przez długi korytarz wychodziło się na wewnętrzne podwórze. Na każdym kroku widniała sylwetka wartownika, z każdego kąta wiało tajemniczością.

Wszyscy robotnicy kontrolowani byli dokładnie przy każdorazowem opuszczaniu fabryki i przy każdym powrocie do pracy.

Ale mimo tych wszystkich środków ostrożności, specjalnie strzeżony był niski szary budynek, otoczony zasiekami z drutu kolczastego, a stojący w wewnętrznym podworcu. Szare miał ściany, bez okien, a drzwi zaopatrzone w skomplikowane zamki.

Wyglądało to tak, jak gdyby budynek ten krył w sobie jakieś skarby niezwykłe.

A jednak głucha wieść, przedostająca się zza kolczastych zasieków, głosiła, że nie znajdowały się tam skarby, lecz fabryka grozy, wytwórnia śmierci.

W małym, szarym budynku pracował tylko jeden człowiek i tylko ten jeden człowiek miał wstęp do niego. Był nim Kazimierz H., Polak-renegat.

Wszyscy zatrudnieni w fabryce zdaleka omijali to tajemnicze zabudowanie i unikali przechodzenia przez wewnętrzne podwórze. Nawet wartownicy i inżynierowie zatrudnieni w innych działach fabryki, omijali budynek ten, jakgdyby z lękiem.

Osłonięty tajemnicą, w zupełnej samotności pracował młody chemik polski.

Po induktorach przelatywały iskry, stos Tesli jaśniał wszystkiemi barwami tęczy, niezliczone ilości woltów na cewkach indukcyjnych pracowały tylko i wyłącznie dla niego, dla jednego człowieka.

W potężnej grubości szklanej, zamkniętej rurze, chemik wytwarzał próżnię. Przez dwa hermetycznie zamykane wentyle dosypywał białego proszku. Oba bieguny, znajdujące się po obu końcach rury, połączył ze stosem Tesli.

I oto przez próżnię przebiegały błyskawice olbrzymich wyładowań. Tam, w tej wąskiej przestrzeni przelatywały pioruny...

— Zwyciężyłem! — szepnął Polak.

Gorączkowe płomienie wybiegły na jego twarz. Drżącą ręką wypisywał na arkuszu papieru skomplikowane wzory.

Wyłączył prąd. Jaśniej zapłonęły lampy. Otarł pot z czoła i rozpoczął próbę na nowo. I znowu w szklanej rurze rozpętała się niesamowita burza...

Polak padł ciężko na krzesło, zamknął oczy, przycisnął rękoma skronie. Zwyciężył! Jego przypuszczenie, jego teorje zrealizowały się w sposób przechodzący najśmielsze oczekiwania.

Podszedł do telefonu.

Przez centralę fabryczną połączył się z powiernikiem Stalina, Kaganowiczem i po drucie telefonicznym, przesłał mu kilka krótkich słów, streszczających się w tym dumnym wyrazie: Zwycięstwo!

Stworzył więc neolenit, dający ciśnienie równe miljonom kilogramów na centimetr kwadratowy w połączeniu z tlenem i azotem powietrza.

Neolenit — tak nazwany przez niego ku czci twórcy współczesnego komunizmu, Lenina. Neolenit — piekielny środek niszczycielski... W próżni szklanej rury był to środek do opanowania, ale z chwilą połączenia się z tlenem i azotem powietrza niewinny proszek zamieniał się w szatańską siłę, niszczącą wszystko w promieniu wielu mil.

Sto gramów neolenitu, który po połączeniu się z powietrzem wytwarzał gaz o niezwykłej wnikliwości, niszczyło przestrzeń w promieniu dziesięciu kilometrów. Tam, gdzie neolenit połączył się z powietrzem, przestawało istnieć życie, a najpotężniejsze budowle rozsypywały się w gruz i pył, jak gdyby waliły w nie jakieś gigantyczne młoty.

Człowiek sięgnął po moc szatańską i zdobył ją.

I znów minęło kilka tygodni.

W laboratorjum sokolnickiem wrzała wytężona praca. Próbne kominy wybuchowe drżały od ciągłych eksplozyj, a robotnicy patrzyli na nie z lękiem przy każdym wstrząsie.

Wiedzieli, że tam wytwarzają się jakieś tajemnicze związki chemiczne. Nie znali jednak ich działania, nie orjentowali się w tajemnicy.

Pompy powietrzne pracowały dzień i noc bez wytchnienia, dynamomaszyny potężnej elektrowni były wciąż na pełnej parze.

Kazimierz H. triumfował. Szalony niszczycielską ideą komunizmu triumfował, że potrafił stworzyć coś takiego, co świat cały rzuci do jego stóp i pod miażdżący rydwan wyznawanej przez niego idei.

— Jestem panem świata, gdyż mogę go zniszczyć w jednej chwili! Odemnie zależy istnienie całej ludzkości!

Wiedząc, jaką siłę posiada, krył zazdrośnie tajemnicę neolitu. Nikt, nawet Stalin, nie dowiedział się od niego o formułce, posiadającej w sobie moc szatana. Chemik zniszczył wszystkie zapiski, a formułkę neolenitu miał głęboko wyrytą w pamięci. W ten sposób zabezpieczył się nawet przed potężnym i wszędzie docierającym wywiadem sowieckim. Pewny był, że nikt mu nie skradnie jego dzieła.

A w laboratorjum jego, odciętem od świata zasiekami z drutów kolczastych, za murami bez okien, za zaryglowanemi drzwiami, rosły z dnia na dzień zapasy szatańskiej materji.

Gdy po raz drugi wiosna zazieleniła pola dokoła Sokolnik opuścił Kazimierz H. mury fabryki. Za nim niesiono zamkniętą szczelnie skrzynię.

W najgłębszej tajemnicy odpłynął jeden z kontrtorpedowców floty sowieckiej, udając się na morze w kierunku wyspy, specjalnie już przed kilkoma miesiącami ewakuowanej. W tajemniczej tej wyprawie, której przewodniczył Kazimierz H., wzięła udział grupa zaufanych ekspertów.

Wyspa miała około pięćdziesięciu kilometrów kwadratowych przestrzeni. Pokryta była skąpo roślinnością, ale żyły na niej znaczne ilości zwierząt.

Ekspedycja udała się na ląd. W odległości kilku kilometrów od brzegu umieszczono metalowy cylinder, od którego biegł długi kabel. Powróciwszy na brzeg, włączono zapomocą elektrycznego kabla mechanizm zegarowy, połączony z miną, która miała rozsadzić cylinder, kryjący w swem wnętrzu neolenit.

Kontrtorpedowiec oddalił się szybko od brzegów wyspy.

Ekspedycja powróciła za kilka dni.

Już zdaleka wyspa robiła wrażenie skrawka ziemi, zniszczonego jakąś potężną katastrofą elementarną. Jakby przeszedł po niej potworny jakiś huragan, jakby waliły w nią niszczycielskie pioruny.

Wysiedli na ląd. Głazy obficie rozsiane na wybrzeżu rozpadały się w pył. Po roślinności nie było ani śladu. Ani jednego zwierzęcia, ani jednego ptaka... Wszystko było zniszczone doszczętnie — wyspa była wymarła...

Kazimierz H. stał na tem przerażającem pustkowiu, patrząc dokoła oczyma triumfu. On to przewidział... On to zdziałał! Ale inni członkowie ekspedycji nie triumf mieli w oczach, lecz grozę, gdyż potworne zniszczenie, jakie tu ujrzeli, przerosło ich oczekiwania.

W ten sposób Sowiety otrzymały atut przepotężny. Ale wynalazca nie chciał zdradzić formułki. Na razie było to dla rządu obojętne, gdyż neolenitu można było produkować dowolne ilości.

W pierwszych etapach zatargu sowiecko-japońskiego Rosja działała niezwykle agresywnie. Wydawało się, że wojny wcale się nie obawia, że może nawet jej pragnie... Nikt nie zdawał sobie sprawy, skąd płynie ta pewność Sowietów. Nikt bowiem nie wiedział, że w małej miejscowości pod Moskwą pracuje polski chemik, gromadzący zapasy piekielnego neolenitu.

Lato miało się ku końcowi. Wrzesień rzucał ostatnie uśmiechy słoneczne, gdy Kazimierz H., przemęczony wielomiesięczną wytężającą pracą, wyjechał na urlop do jednej z miejscowości kąpielowych na Krym.

Pewnego wieczoru, słuchając radja, złowił stację warszawską. Dziwnym trafem był to właśnie dzień wielkiego triumfu skrzydlatej Polski, dzień oficjalnego ogłoszenia podwójnego zwycięstwa polskich lotników w challenge'u. Renegat słuchał głosów dalekiej, porzuconej ojczyzny i te głosy mówiły mu, że Polska rozwija się, krzepnie, rośnie i potężnieje.

A tam, pod Moskwą, wyrastały olbrzymie składnice szatańskiego dzieła, które może być i przeciw Polsce obrócone... Może ją zniszczyć, może ją obrócić w obszar zupełnego zniszczenia...

I wtedy dopiero w duszy renegata wstawać poczęły straszliwe, gnębiące wyrzuty. Wtedy dopiero zrozumiał, co zrobił...

A jednak z sytuacji tej nie było wyjścia. Ani gramu przeklętego proszku nie można było wynieść z obrębu zabudowań sokolnickich. Jakże więc zniszczyć to, co spoczywa tam w olbrzymich ilościach?

Nazajutrz Kazimierz H. powracał do Moskwy.

Na zdziwione zapytania, że tak nagle przerwał urlop, odpowiedział zdawkowemi zapewnieniami o swej gorliwości do pracy i zamknął się znowu w swem tajemniczem laboratorjum.

I znowu zawrzała gorączkowa praca.

Aż pewnego dnia nastąpiła straszliwa eksplozja. Kawały murów i dachów, części maszyn wylatywały w powietrze, by spaść spowrotem na ziemię, gdzie w wydartej przepaści zniknęło to, co przed chwilą jeszcze było wielką fabryką...

Wytwórnia śmierci przestała istnieć.

W dzień po wybuchu polityka Sowietów wobec Japonji uległa radykalnej zmianie. Dyplomaci sowieccy okazali się więcej ugodowymi...

Nie było już neolenitu... Nie było Kazimierza H... Wszystko spoczęło w olbrzymim grobie, spowodowanym straszliwą eksplozją.

Nikt nie miał ani cienia wątpliwości, że katastrofa ta nie była przypadkiem. Wszyscy zdawali sobie sprawę z tego, że Kazimierz H. wywołał ją rozmyślnie, popełniając równocześnie samobójstwo.

— — — — — — —

...W archiwum Ossowiachimu w Moskwie znajduje się wśród wielu innych czarna teczka oznaczona Nr. 345/34 S.

Zawiera ona historję Kazimierza H. Wszystko — z wyjątkiem formułki neolenitu.

Mieczysław Sil.



PO DRUGIEJ STRONIE KURTYNY

Onieśmieleni wstępujemy korytarzem służbowym za kulisy wielkiego music-hallu w Paryżu. Jakże mała wydaje się nam sama sala wobec obszaru i zawartości kulis, wielkiej nowoczesnej „fabryki", zaopatrzonej w najnowsze urządzenia techniczne!

Co uderza przedewszystkiem — to rygor i tempo pracy. Życie artystki, uśmiechającej się ze sceny i zbierającej kwiaty, oklaski i pochwały nie jest godnem pozazdroszczenia, zwłaszcza, jeśli idzie o artystkę przeciętną, naprzykład — młodziutką różową girl.

Girl, która tańczyć musi osiem godzin na dobę dla wprawy (nie licząc przedstawień!), zostaje skreślona z listy personalu po dwukrotnem upomnieniu n. p. za to, że w czasie występu nie uśmiechała się, że paliła papierosa za kulisami, że żartowała w czasie prób, że rozmawiała głośno na korytarzu i tak dalej, i tak dalej, nie mówiąc już o karach surowych za kłótnie, czy opóźnienia... Lecz tego wszystkiego nie wię publiczność, zachwycona przepięknem przedstawieniem.

Zachwyt zrozumiały! Jedna rewja paryska, składająca się z dwóch wielkich aktów, liczy około piętnastu obrazów, a każdy z nich wymaga pięciu do sześciu zmian dekoracyj.. Widz bije brawo! Nie spostrzega nawet, ile te zmiany dekoracyj wymagają wprawy, kosztują pracy i wysiłków. Przecież obraz trwa najwyżej pięć minut! Należy więc co minutę zmienić dekoracje! A w czasie jednego wieczoru dochodzi to do cyfry „astronomicznej". To samo można powiedzieć o szybkości, z jaką należy przegrupowywać artystów, których niekiedy widzimy dwudziestu w jednym obrazie, nie licząc setek statystów.

W ten sposób przedstawienie staje się niejako mechanizmem chronometrycznym, kierowanym przez jednego, jedynego człowieka. Pracuje on w swej kabinie niby komendant okrętu. Wydaje rozkazy, posługując się tylko dzwonkami; tuba i telefon służy wyłącznie w razie jakiegoś wypadku, czy rażącego błędu. Dzwonkami zmienia tło, sprowadza na scenę deszcz, grzmoty, wyprowadza z garderób artystki, co jednocześnie staje się sygnałem do przygotowania następnego numeru.

Każdy dzwonek powoduje zapalenie lampki o odpowiednim kolorze, w odpowiednim miejscu: unika się w ten sposób hałasu (nie wolno przecież nawet mówić głośno!), a zarazem zdenerwowania pracujących. Scena jest ogromna. Czy wiecie, że każda jej część nosi jakąś nazwę, lub posiada numer (to zależy od teatru), że każda kurtyna również ma swą nazwę, niekiedy poprostu imię, jak: „Zosia" czy „Antonina"?! A nazw tych trzeba spamiętać moc, bo nie zapominajmy, że scena jest głęboka na 9,80 metrów (podzielonych na 7 pasów) plus 3 metry proscenium: wysokość sceny zaś wynosi aż 22 metry, czyli tyle, ile dom 4—5 piętrowy!

Dla sprawności przedstawienia reżyser musi pamiętać o wszystkich szczegółach deko



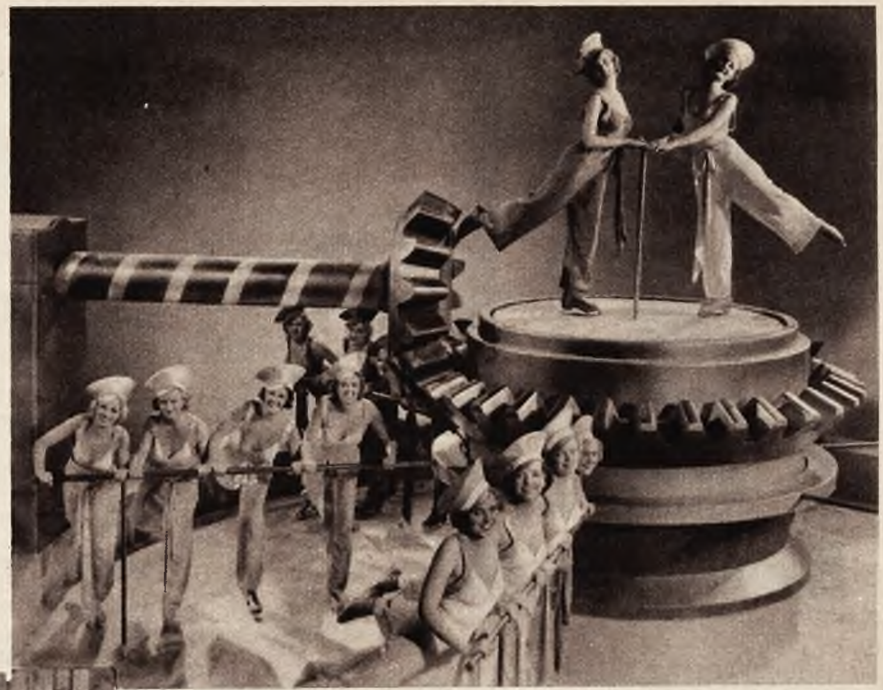


Wielka pauza za kulisami: Para artystów w strojach rzymskich wypoczywa na poduszkach modnego ekwipażu. — Na prawo: Moment podnoszenia kurtyny zapomocą specjalnych lin.

racyj, tekstu, a nawet — muzyki. Pozwala mu to, słuchając śpiewu ze sceny — zmienić jedną dekorację w szesnastym takcie (!), a powiedzmy, w trzydziestym — dać „błyskawicę" czy „księżyc", lub wysłać na scenę girlsy, lub zmienić światło, zesunąć jakąś kurtynę boczną i t. d.

Na rozkazy reżysera czeka 22 mechaników, obsługujących scenę i czternastu pomocników przy maszynach; do tego należy dodać 22 elektrotechników; to czyni już 48-miu, nie licząc personalu, wyspecjalizowanego w poszczególnych działach (inspicjenci, fryzjerzy, dekoratorzy, pomocnice w ubieralniach, muzycy i t. d.).

Pewnego razu byłem za kulisami w czasie przedstawienia w „Casino de Paris", słynnego ze swych efektów. Ciekawa i kosztowna jest zwłaszcza instalacja wodna na scenie, pozwalająca w ciągu kilku chwil przelewać 17.000 litrów wody (uprzednio ogrzanej w specjalnych rurach!). Prolog tego obrazu był grany przed kurtyną aksamitną, podczas gdy mechanicy w milczeniu, każdy na swoim stanowisku, przygotowali za tą kurtyną swą maszynerję. Dzwonek! Woda zostaje wypuszczona. Dzwonek! Rzut świateł kolorowych! Dzwonek! Kurtyna! Artyści wbiegają w odpowiednich kostjumach i „rzucają się do wody" zapełniającej scenę, czyli: wskakują wtył, poza... taflę szklaną, dającą efekt ich poruszania się w wodzie. Dzwonek! Zmiana świateł. Dzwonek! Kurtyna. Trwało to: cztery minuty... a opisałem oczywiście w skróceniu... Podobnież „Folies Bergere" posiadają takąż instalację. Widziałem tam pod sceną wielki basen betonowy. Wielkie lustro 5,20 m. na 6 metrów nachylone pod kątem 45 stopni, pozwala publiczności przypatrywać się scenom wodnym. Ciekawy efekt otrzymano raz z okrętem zbliżającym się z oddali (na scenie oczywiście, odpowiednio udekorowanej). Okręt ten, mierzący 1,80 m. w pierwszej chwili, powiększył się o 6,50 m., jednocześnie powiększono światła w okienkach i rozjaśniono światło, zaś syreny, początkowo ciche, grały coraz głośniej. Trudno o scenę prawdziwszą, niż ta! Publiczność oklaskiwała przedewszystkiem konstruktora tego tricku mechanicznego, oklaskiwała bodaj goręcej, niż wybitną wedetę, gwiazdę-śpiewaczkę czy tancerkę!



Tryby olbrzymiego kieratu, poruszanego przez girlsy słynnego baletu Ziegfielda w Nowym Jorku.



Moment ustawiania dekoracyj na scenie.

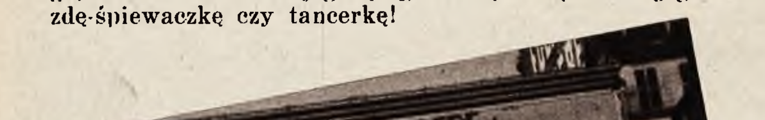
Trudno zresztą w ramach jednego artykułu opisać wszystkie te cuda nowoczesnej techniki teatralnej.

„Teatr Pigalle" posiada znów inne, niezwykłe instalacje, zupełnie nowe, nigdzie jeszcze dotąd nie wprowadzone. Przedewszystkiem niema tam sceny obrotowej, zastosowano natomiast przesuwalną, t. zn. taką, w której płaszczyzna sceny składa się z dwuch metalowych konstrukcyj, a każda z nich ma szerokość, odpowiadającą pół szerokości sceny głównej. Każda z tych konstrukcyj, „pół-scen", może być przesuwana poziomo wtył i wprzód, zachodząc nawet na proscenium. Niezależnie od tego, każda z nich posiada ruch pionowy, jak winda, mogąc wznosić się na piętro wyższe i schodzić wdół. Pozwala to więc na różne kombinacje dekoracyjne. Raz, naprzykład, akcja odbywała się jednocześnie na ulicy, przed domem; na pierwszem piętrze i w piwnicy. Z boku sceny znajdują się windy osobowe, pozwalające artystom na szybkie przejeżdżanie z jednej płaszczyzny na drugą w czasie wznoszenia się czy opuszczania ciężkiej sceny, tak, że kilkanaście sekund wystarczy na całkowitą zmianę dekoracyj! Odbywa się to przy zgaszonych światłach i zanim wzrok przyzwyczai się do ciemności, światło ponownie rozjaśnia scenę, już zupełnie inną! — Nasuwa się pytanie: jak można z taką szybkością zmienić wszystkie inne dekoracje? Oto nowość teatru! Wystarczy przycisnąć jeden guzik elektryczny, by każda z żądanych dekoracyj zjechała elektrycznie na swoje miejsce. Zdanie to wymaga objaśnienia. W dzień przygotowuje się komplet wszystkich dekoracyj, potrzebnych na dany wieczór; dekoracje te zostają umieszczone w odpowiednich miejscach, nad sceną; są to więc i efekty świetlne i kurtyny i różne rekwizyty. Każdy z nich może być kierowany elektrycznie, każdy posiada odpowiednik na tablicy rozdzielczej, zawierającej 310 przerywaczy automatycznych. Przypomina to stacje telefoniczne wielkich miast. Obecnie wystarczy ułożyć szereg tabliczek, zaopatrzonych w numery odpowiednich kontaktów, które należy włączać w odpowiednich momentach przedstawienia. Przygotowuje się więc taki komplet zatyczek i wtedy — wystarczy nacisnąć jeden, jedyny guzik, by włączyć prąd, komplet ten wprowadzić w akcję i w ten sposób spowodować w ciągu kilkunastu sekund zmianę najbardziej skomplikowanych dekoracyj.

Mówiąc o różnych ciekawostkach, nie wyczerpaliśmy rzecz prosta całego tematu. Nie poruszyliśmy szeregu bardzo ciekawych szczegółów, bo trudno za jednym zamachem zobrazować wszystkie tajniki kulis, tego prawdziwego „świata złudy".

A może i lepiej będzie, gdy o nich zamilczymy, pozostawiając Czytelnika w nieświadomości tego wszystkiego, co rzuca specyficzne światło na piękno przedstawienia?...

Zygmunt Frenkiel (Paryż).



Fronton music-hallu „Folies-Bergere" w Paryżu.

***NA WIRUJĄCYM KLOSZU-OLBRZYMIE...** znalazły się najpiękniejsze „owoce" baletu wielkiej rewji. — Lustrzana posadzka sceny imituje do złudzenia zwierciadło wody...*



DWA „ASY"

MÓWIĄ:

Najdramatyczniejszy moment w mem życiu...



Porucznik Andrzej Bohomolec, zdobywca Atlantyku na jachcie „Dal".

Fot. „As".

Zdobywca Atlantyku, por. ANDRZEJ BOHOMOLEC.

Porucznik Andrzej Bohomolec, przeprawiwszy się wraz z towarzyszami na wątłym jachcie „Dal" przez Atlantyk, odbył następnie długą podróż po Ameryce. Obecnie wrócił z dwuletniej blisko włóczęgi po morzach i lądach do kraju, do swego macierzystego pułku kawaleryjskiego do Baranowicz.

Prosimy go o wywiad na temat najdramatyczniejszego momentu w jego życiu. Chwila wahania i... rozpoczyna się ciekawe opowiadanie:

Porucznik Bohomolec już kilkakrotnie odbywał dalekie rejsy na pasażerskich, czy handlowych statkach, przeważnie francuskich, jako członek załogi. W ten sposób zwiedził już południową Amerykę, zachodnie wybrzeża afrykańskie, Indje, Indochiny...

Życie miał burzliwe od najwcześniejszych lat.

— Już jako uczeń wędrowałem nietylko ze szkoły do szkoły, ale z kraju do kraju — mówi zdobywca Atlantyku. — Nauki średnie pobierałem we Francji i Szwajcarji, a w czasie wojny w Petersburgu. Maturę zdawałem w 1918 r. w Finlandji.

Niedługo później Bohomolec przedostaje się do Francji i zaciąga do pierwszego pułku szwoleżerów wojsk generała Hallera. Ostatnie dni wojny światowej spędza na froncie francuskim; później wraca do kraju. Wojnę z bolszewikami przebywa w szeregach naszej kawalerji.

W czasach pokoju oddaje się z największą pasją sportowi, nie zważając na ograniczone możliwości ludzkiego organizmu. Jest zapalonym kawalerzystą, bierze udział w konkursach pułkowych i międzydywizyjnych. Po ostatnich zawodach konnych, w których brał udział, musiał pójść do szpitala na kurację. Nadmierne wysiłki sforsowały serce. Jako kurację rozszerzonego serca obmyślił sobie Bohomolec w czasie pobytu w szpitalu, nową przeprawę jachtem przez Atlantyk. Wprost ze szpitala udaje się do Gdyni. Wraz z towarzyszami morskiej wyprawy dogląda spuszczenia jachtu na morze i przygotowuje się do dalekiego rejsu.

Dla Bohomolca ważna jest chwila obecna, pochłania go całkowicie to, co robi w tej chwili. Stąd też trudne są z nim naogół rozmowy o przeszłości. To co było, co zostało przeżyte, wydaje się mu niewielkiej wagi, proste, jasne, zwykłe. Nie lubi szczegółowych opisów, unika superlatywów. Poprostu szkoda słów, na to, aby mówić o przeszłości. W słowach mieścić się winny zamierzenia, plany przyszłych przedsięwzięć. Jeżeli się zgadza mówić o przeprawie przez Atlantyk, to nie, aby przeżywać dawne zdarzenia po raz drugi, ale dla samego tematu, przez niesłabnącą ani na chwilę pasję dla wszystkich spraw morza.

Najdramatyczniejszy moment w życiu Bohomolca jest związany właśnie z ostatnią morską wyprawą.

— Czytał pan „Tajfun" Conrada? Czy wie pan co to jest cyklon? tajfun? orkan? Nie wie pan, nie można o tem nic wiedzieć, jeśli się tego nie przeżyło.

— Cyklon złapał nas o 350 mil morskich na południowy wschód od Bermudów. Było to w sierpniu. Już 17-go w południe wiedzieliśmy, że wchodzimy w orkan: dookoła słońca wytworzył się na niebie świecący pierścień. Ten znak nie wróżył nic dobrego. Staraliśmy się nie mówić o tem, ale każdy czuł, że cyklon nas nie minie. Wkrótce całe niebo zakryły ciemne chmury burzowe. Fale stawały się coraz wyższe i coraz gwałtowniejsze. W pośpiechu przygotowywaliśmy się do walki z żywiołem. Żagle zostały spuszczone, a wszystkie przedmioty na pokładzie przytwierdzone linami. W ciągu nocy barometr spadł do 756. Nad ranem wątły nasz jacht staje się igraszką wzburzonych fal. Decydujemy się stanąć na dryfkotwie. Dryfkotwa jest to płócienny lej, który umocowuje się na długiej linie u dziobu. Statek na dryfkotwie powinien teoretycznie ustawić się, jak w porcie, dziobem do fali i wiatru. To jest jednak tylko teorja. Dryfkotwie pomagać powinien żagielek na tyle łodzi, ale i to niewiele pomaga... Jacht nasz z olbrzymią siłą przerzucany jest to wdół, to wgórę. Przechylenia na boki dochodzą do 30 stopni. Barometr spada w dalszym ciągu wdół, jak szalony, jest już 739! Woda wdarła się na pokład i stoimy ciągle u pomp. Drugi dzień żywimy się tylko sucharami i winem. Siła ciągle zmieniającego kierunek wiatru wzrasta. Jacht przechyla się coraz głębiej. Częściej widzimy nad sobą spienione fale, niż groźnie zachmurzone niebo. Sytuacja jest fatalna. W głębi duszy nikt z nas nie liczy już na wyjście z tej piekielnej opresji. Mimo to z ust nie pada ani słowo skargi. Rankiem trzeciego dnia orkanu, jacht porwany olbrzymią siłą, robi straszliwy obrót dookoła osi. Wypadamy z kajuty, wyłamując po drodze drzwi, głowami uderzamy o sufit. Woda wdziera się

do wnętrza. Dzięki obciążeniu dna ołowiem jacht wyprostowuje się. Na pokład spada strzaskany maszt, drywkotwa jest zerwana. Leżymy bokiem na fali. Znów trzeba stanąć do pomp. Jesteśmy wyczerpani fizycznie do ostatnich granic i bliscy zupełnej depresji.

21-go od rana barometr zaczyna się podnosić, ale siła wiatru nie słabnie. Pada gwałtowny deszcz. Wśród deszczu i wichury staramy się naprawić ciężkie uszkodzenia. My sami nie wyglądamy lepiej, niż nasz potrzaskany jacht. Cztery doby, spędzone na walce z rozszalałym żywiołem, prawie bez jedzenia i chwili wypoczynku, pozostawiły wyraźne ślady. Wreszcie 22-go około południa poza chmur ukazało się słońce! Tajfun minął.

Nie było mowy o kontynuowaniu rejsu do Stanów. Wzięliśmy kurs na najbliższy ląd. Robiąc po 60 do 90 mil dziennie przybiliśmy dnia 26-go około południa do portu w Somerset na Bermudach.

Później dowiedzieliśmy się, jak olbrzymie, miljonowe szkody, wyrządził cyklon po dojściu do lądu amerykańskiego. Wiele statków zostało zatopionych. Na Bermudach uważano przebycie przez nas cyklonu na oceanie za coś znacznie większego, niż całą późniejszą przeprawę przez Atlantyk. Tysiące razy zatrzymywano nas na ulicy, prosząc o autografy.

— To okropne przeżycie na morzu uważam chyba za najdramatyczniejszy moment w mem życiu.

As warszawskiego turfu — JÓZEF GÓRECKI.

Kto z bywalców wyścigowych w Polsce, a przed wojną również i torów rosyjskich w Moskwie, Petersburgu, Odessie i t. d. nie znał dżokeja Józefa Góreckiego? Od 35 lat Górecki dosiada koni najrozmaitszych stajen. Jest on zdobywcą trudnej do zliczenia ilości nagród i dziś jeszcze mimo swych 55 lat, bierze od czasu do czasu udział w wyścigach. Nie jest to już jednak to samo, co dawniej, (jeszcze przed dwoma, trzema laty), kiedy Górecki każdego dnia wyścigowego dosiadał kilku koni. Mały ten człowieczek, o drobnej stopie i kobiecej ręce, cieszy się niepospolitem zdrowiem.

— Nie zamieniłbym się mimo szóstego krzyżyka na siły i zdrowie z moim synem. — Przy tych słowach Górecki wskazuje na 25-letniego młodzieńca, który uśmiecha się smutnie. Następca i spadkobierca sławy znakomitego dżokeja spadł przed kilku laty z konia w czasie treningu i od tego czasu coś jest nie w porządku z jego kręgosłupem.

— Przeświatlali go już, badało go wielu lekarzy, nie na wiele się to jednak przydało — mówi ojciec. — Czasami ma takie bóle w krzyżu, że nie może wstać, a kocha konie, jak ja i myśli tylko o karjerze dżokeja. Namawiałem go do obrania sobie innego zawodu, ale słyszeć o tem nie chce. — Nie dziwię się mu; życie z końmi jest wspaniałe.

— Od 12-go roku życia pracuję przy koniach. Zacząłem moją karjerę w stajni Krasińskich. Dawniej pracowało się ciężko, zarówno w stajni, jak i na treningach i galopach. Teraz dżokej zjawia się często dopiero w marcu, lub kwietniu, na miesiąc przed rozpoczęciem wiosennego sezonu wyścigowego. Przychodzi już do gotowego. Nie mówię, żeby nie miał urlopu. Owszem. Po skończonym sezonie jesiennym może odpocząć do nowego roku, ale od stycznia powinien bezwzględnie brać udział w codziennych treningach.

Rozmawiamy, spacerując po szerokim korytarzu stajni gen. Flissowskiego. Z klatek po obu stronach konie wychylają głowy do swego opiekuna. Tymczasem na placu przed stajnią chłopcy objeżdżają konie. Trwa to zimą do południa. Porannych biegów dogląda Górecki z zegarkiem w ręku. Najdrobniejsze uchybienie nie ujdzie jego uwadze. Opowiada mi o dawnych czasach, o blaskach i nędzach życia wyścigowego, ale ma oko na wszystko. Tyle razy był w najcięższych niebezpieczeństwach, że trudno mu zatrzymać się nad czemś, co mógłby nazwać najbardziej dramatycznym momentem w swojem życiu. Było ono wypełnione bardzo ciężką pracą. Myli się ten, kto sądzi z błyskotliwych pozorów, że wyścigi dla hodowców, właścicieli stajen i dżokejów, to kopalnia łatwych i nieprzebranych zysków. Właściciel stajni w ogólnym bilansie zawsze ma straty.

— To bardzo kosztowna zabawa — mówi Górecki. — Jeżeli już szczęście dopisuje i zdobywa się nagrody, to znów przyjdzie niewiadomo skąd zaraza i położy kilka, a czasem nawet kilkanaście koni, tak jak to zresztą niedawno miało miejsce w świetnej stadninie Bersona. Padło tam kilkanaście klaczy. To już strata, którą trudno obliczyć. Conajmniej miljon złotych.

— Dżokej może się dorobić szybciej, niż kto inny w innym zawodzie; ma bowiem oprócz pensji procent od zdobytych nagród; jeżeli więc dopisuje mu szczęście, to... Tylko tu, podobnie jak wszędzie, dorabia się oszczędny, przezorny i wstrzemięźliwy. Nagłe i duże zarobki demoralizują mniej odpornych, którzy wszystkie pieniądze tracą na karty, pijaństwo i hulanki. Pamięta pan zapewne — mówi Górecki — murzyna Winkfielda. Zdobywał on największe nagrody na torach rosyjskich, polskich, a ostatnio francuskich; miał duży majątek. Wszystko przegrał w karty i teraz w leży w Paryżu chory, niezdolny do pracy, jest bliski nędzy. Mnie znów zrujnowała wojna. Ale są niektórzy, co mają pieniądze. — Tutaj wymieniając nazwisko jednego z bardziej znanych na warszawskim torze dżokejów, powiada: — Obliczam go na 300 tysięcy złotych.

Rozmowa trwa już przeszło godzinę. Górecki kilkakrotnie wspomina niebezpieczne wypadki na torze, aż wreszcie zatrzymuje się przy ostatnim, który przed dwoma laty wstrząsnął warszawską publicznością.

— Była cudowna wiosenna niedziela. Pierwsza majowa, ciepła i pełna słońca. Na torze tłumy publiczności, a wśród niej wiele pięknie ubranych pań. Cztery pierwsze gonitwy przeszły wśród radosnego nastroju tłumów, aż wreszcie w czasie piątej gonitwy o nagrodę wiosenną 12 tys. zł. zdarzyło się nieszczęście. W biegu tym na dystansie 1.800 mtr. brało udział 15 klaczy. Przepowiadano, że wyścig rozegra się pomiędzy klaczą „Apatin" Dydyńskiego i „Birą" hr. Mielżyńskiego.



Dżokej, Józef Górecki.

— Na 600 metrów przed celownikiem, gdy konie zaczęły się przegrupowywać, nastąpiło tragiczne starcie. Klacz „Bira", dosiadana przez dżokeja Szyszkowskiego, potknęła się, czy też potrącona przez „Apatin", na której jechał dżokej Magdaliński, upadła, przygniatając jeźdźca. Zwalił się również Magdaliński, śmiertelnie ranny. Na torze zakotłowało się. Konie spłoszone zrzucały jeźdźców. Wiele z nich biegło dalej, podczas gdy dżokeje leżeli na torze. Ja — mówi Górecki — w ostatniej chwili zdołałem zatrzymać i skierować konia, który miał uderzyć przedniemi kopytami leżącego na torze dżokeja Chatisowa. To uratowało jemu, a może i mnie życie. Koń wysadził mnie z siodła, ale upadłem szczęśliwie i wyszedłem bez szwanku.

W tragicznym tym wyścigu znaleźli śmierć dwaj dżokeje: Magdaliński i Szyszkowski, a kilku doznało cięższych, lub lżejszych obrażeń. Wśród publiczności powstał nieopisany popłoch. Obecne na torze żony dżokejów, biorących udział w wyścigu, rzuciły się przez pola na przełaj ku rannym. Bieg przerwano. Reszta słonecznego dnia upłynęła w przygnębiającym nastroju.



Charakterystyczna twarz 90-cioletniego Rockefellera pod szkłem powiększającem.

MILJARDERZY · POD · SZKŁEM · POWIĘKSZAJĄCEM...

W Ameryce powstało nowoczesne tempo pracy oraz myśl gwałtownego ujarzmienia i zniewolenia wszystkich dziewiczych warunków przyrody i skarbów dla użytku człowieka. Rasa anglosaska stała się zaczynem fermentu różnych narodowości, osiedlających się na ziemiach Ameryki, gdzie powstał nowy własny ustrój społeczny, oparty na jaknajlepszej kalkulacji państwa bussnesu.

Pojęcie bussnesu w całej rozciągłości zastąpiło stare ideologje europejskich państw. Zdobywcy Ameryki, to silne, uzbrojone w organizacyjne zdolności jednostki, które przybyły w zupełnem ubóstwie z Szkocji, jak rodzina Vanderbildów lub z Francji, jak rodzina Gerards'ów, czy z Anglji, Holandji, Niemiec, Hiszpanji itd. Wielcy gracze często długie lata musieli ciężką pracą zdobywać pierwszą stawkę do hazardowej gry przy wielkim stole miljonowych interesów. Przy taniości surowców, tak ważnych, jak żelazo i węgiel, olbrzymich połaci pól po raz pierwszy dotkniętych pługiem, miljardy zdobyć było można na wszystkiem, począwszy od kopalni złota, hodowli szlachetnych owoców, spalaniu śmieci lub wynalazku i eksploatacji papierowych parasoli.

Czy miljarder posiadać musi jakieś nadzwyczajne zdolności, głęboką inteligencję lub nawet genjalność?

Cechą wszystkich miljarderów amerykańskich jest przedewszystkiem energja, odwaga i niezmordowana pracowitość. Badania fizjognomiczne ustaliły typ wyglądu amerykańskiego miljardera. Posiada on wysokie, kanciaste czoło i mocno rozwinięty, wystający podbródek, co jest oznaką wielkiej energji. Te cechy charakterystyczne posiadają Gould, Rockefeller, Poster, Sage, Morgan, Vanderbilt, Koen i Carnegie.

Właściwości duchowe miljarderów, to odwaga i mocna wola, a nader rzadko genjalność. Wszystkich cechuje szybka decyzja i błyskawiczna orjentacja w sprawach interesów, dokładne obliczenie w każdej sprawie wszystkich szans za i przeciw. Miljarder równie szybko rzuca swe miljony na szalę interesów, jak i je wycofuje. Oszczędność, przechodząca w skąpstwo, jest niemal stałym przymiotem miljarderów. Dokładne poznanie wszystkich najdrobniejszych gałęzi interesu i jasne zdawanie sobie sprawy w każdym czasie z jego stanu, należy do wykonywania zawodu miljardera.

Carnegie mówi: „Człowiek, który chce zostać miljarderem powinien poznać wszystkie ścieżki, drogi i gościńce życia, oraz wszelkie rodzaje pracy i sposoby p r o w a d z e n i a przedsiębiorstwa. Kandydat na miljardera nie może być nigdy zmęczonym. Niema dla niego również zbyt ciężkiej pracy" (Carnegie pracuje codziennie 18 godzin). Bystrość jego umysłu (jako młodzieniec zwracał uwagę swoim przełożonym na błędy interesu), naprowadziła go na drogę miljarderów.

Genjalność niektórych osób, jak Carnegie'go, Vanderbilta, Rockefellera, Goulda i Jonny'ego posiada cechy zbliżone do wojskowych talentów. Miljarderzy, jako dowódcy swoich interesów, popełniają te same błędy co i wodzowie militarni, nie troszczą się taksamo jak i oni, o ofiary swych ambitnych planów, które niemal zawsze są niezbędne do wygrania bitew generałów, jak i miljarderów.

◘◘ ◘◘

Miljarderzy p o s i a d a j ą jedną wspólną genjalną cechę. wczesnej dojrzałości. Niemal zawsze karjera miljardera zaczyna się we wczesnej młodości. Stefan Girard miał 10 lat, gdy został chłopcem okrętowym. — Gordon Benett mając 15 lat był już konstruktorem. Gould, mając 12 lat wyruszył na wędrówkę w ubraniu za pół dolara, mając lat 15 był już współwłaścicielem stoczni. Knight, mając 8 lat pracuje w tkalni. Carnegie w 12-tym roku życia również pracuje w tkalni, otrzymując 1 dolara i 20 centów na tydzień.

„Te pieniądze — opowiadał później — robiły mi większą przyjemność, aniżeli obecne posiadanie miljonów". Ol... opowiada dalej, iż jako biedny chłopiec bez pieniędzy, protekcji, ochrony i wiedzy doszedł do swego celu, w czasie gdy inteligenci byli szczęśliwi, iż mogą żyć na żołdzie innych, a w najlepszym razie stać się osobami zaufania właścicieli przedsiębiorstw.

Niemal wszyscy pochodzą z klasy nieoświeconej. Są synami robotników i wieśniaków. Dwaj z nich Hill i Clark, ludzie o średniem wykształceniu, opowiadają, iż wiele trudu kosztowało ich pozbycie się ciężaru swego wykształcenia, które przeszkadzało im w karjerze miljarderskiej.

Vanderbildt, tak zresztą jak Garibaldi, umiał zaledwie podpisać się. Trezza i Campbell byli analfabetami!

Carnegie opowiada, iż ludzie, którzy zdobyli sobie w nauce nazwisko, rzadko kiedy odznaczali się handlowemi zdolnościami. Naukowcy niemal w każdej sprawie znajdują wątpliwości tam, gdzie miljarder musi natychmiast powziąć energiczną decyzję bez żadnych powątpiewań.

Paradoksalnem wydaje się twierdzenie, iż droga do bogactwa wywodzi się z krainy ubóstwa. Niemal wszyscy miljarderzy dzieciństwo swego życia przepędzili w nędzy, a więc:

Król bawełny Knight, pracujący jako 8-letnie dziecko w tkalni bawełny, zarabiał za 14 godzin dziennej pracy mniej aniżeli dolara — Również Carnegie w tych latach nie zarabiał więcej.

Edison był telegrafistą. Cheney, Robling i Spekkels, królowie jedwabnego przemysłu, zmuszeni byli jako dzieci zdobywać swój chleb codzienny. I szereg innych miljarderów, rozpoczął start do miljonów z pozycji dziennych wyrobników.

Miljarderzy odznaczali się zawsze intuicją. W lot podchwytywali jakąś ideę i w lot znachodzili środki dla jej realizacji.

Carnegie pojął natychmiast znaczenie zademonstrowanego mu pierwszego wozu sypialnego. Również ocenił wartość zamiany drewnianej konstrukcji mostów na żelazne. Carnegie pojął doniosłość natychmiastowego praktycznego znaczenia tych dwóch pomysłów i zdobył odrazu olbrzymi majątek.

Astor na dziesiątki lat przewidział rozwój Nowego Jorku, zakupując po niskich cenach olbrzymie kompleksy terenów, by je później z olbrzymim zyskiem sprzedać.

Phipps myślał zawsze o skarbach zatopionych w morzu i wynalazł dzwon nurkowy, przy pomocy którego wydobył z głębi morza wyśnione skarby.

Vanderbildt zrozumiał doniosłość wynalazku Fultona i pierwszy przebudował swoją żaglową flotę na statki parowe, powiększając w ten sposób wartość swego majątku stokrotnie.

Vanderbildt umiał handlowo łączyć rozmaite interesy i przemysły i tworzyć wielkie trusty. Na połączeniu zarządów linij kolejowych w jedną „Emprie-Trans-Express Comp." zrobił kolosalny majątek.

Nakoniec zadajemy sobie pytanie, dlaczego miljarderzy pałają niegasnącą nigdy żądzą zarobku. Na to pytanie otrzymujemy odpowiedź Astora: „Można mieć zadużo, ale nigdy dość!"

el. d.





Od góry: Pierpont Morgan (na lewo) w stroju honorowego doktora uniwersytetu w Oxfordzie. — Wallstreet, ulica banków nowojorskich.





Od góry: Harald Vanderbilt, „król" giełdy nowojorskiej, przy sterze swego luksusowego jachtu. — Widok giełdy nowojorskiej podczas ostatniego krachu dolarowego.



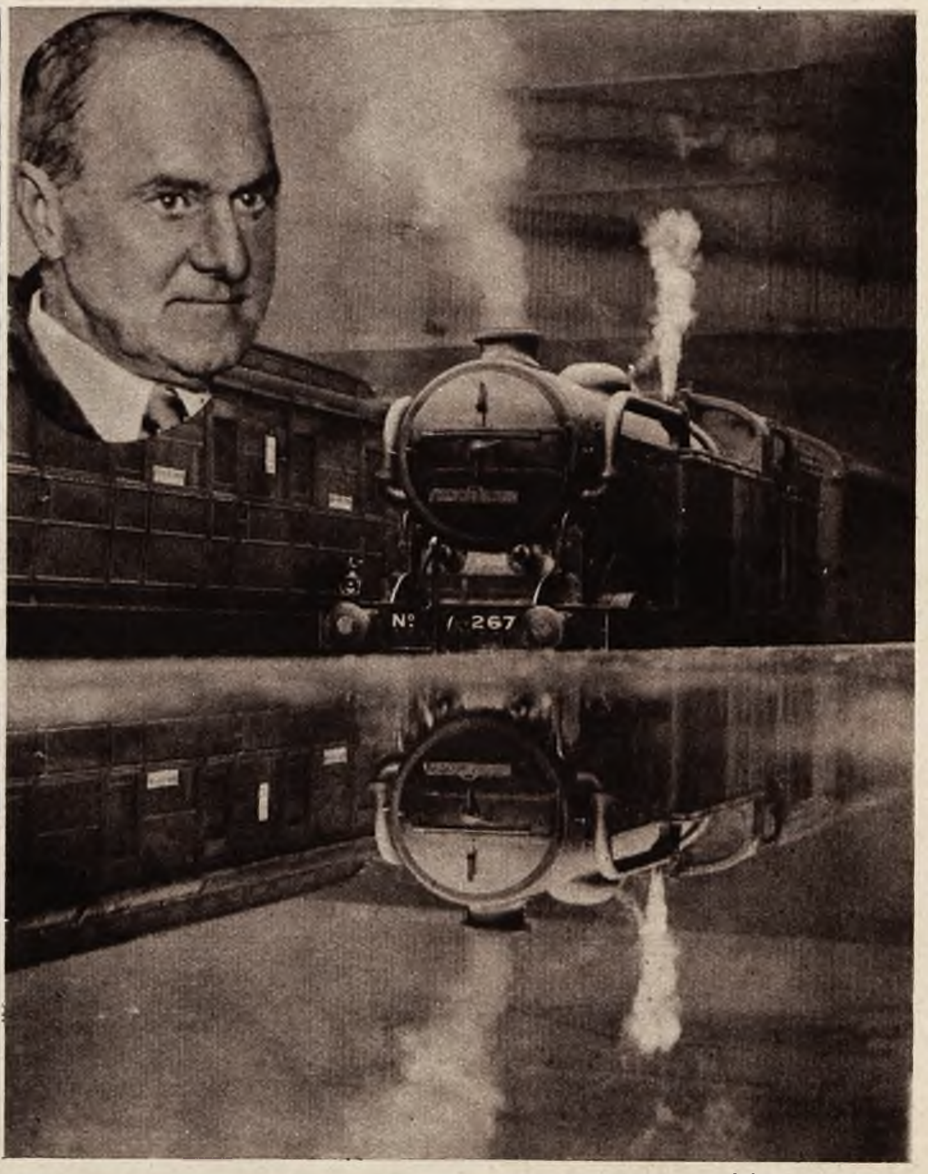


Od góry: John Rockefeller, „król" nafty, w swym gabinecie. — Kalifornijskie szyby naftowe, ...ące do... sędziwego miljardera.





Od góry: Ford i Edison z elektrycznemi żarówkami w rękach. — Ford w pierwszym samochodzie swej produkcji; obok najnowszy jego model.



Mac Cormick, mąż Hanny Walskiej, „król" amerykańskich lokomotyw.



POTWORY

Człowiek zaludniał kulę ziemską pod wszelkiemi szerokościami i długościami geograficznemi wytworami swej fantazji, którym nadawał kształty nito ludzkie, nito zwierzęce, w każdym razie jakieś osobliwe, groźne, imponujące. Istoty te od smoka chińskiego do wawelskiego, od Cyklopa homerowskiego do kostusi średniowiecznej wywijającej wprawnie kosą w swych dzwoniących piszczelami ramionach, występują w legendach jako potężne siły dybiąc na życie człowieka, z któremi jednakże walka nie zawsze była beznadziejną. Krak, św. Jerzy, Odysseusz, Herkules i chytry góral, dają sobie z nimi radę, bądź w walce wręcz, bądź działając podstępnie. Kształty opisywanych potworów stają się tem bardziej osobliwe, w im dzikszych okolicach każe im człowiek mieszkać, im bujniejsza fantazja pracuje pod sklepieniem jego czaszki i im niżej spada poziom kulturalny pewnego środowiska lub epoki.

Czy jednak klasyczne potwory słonecznej starożytności i zacofanego, ponurego średniowiecza są wytworami samej tylko fantazji Zdaje się, że nie. Zawsze prawie wyrastają na podłożu jakiejś obserwacji bezpośredniej lub przekazanej z pokolenia na pokolenie. Smok św. Jerzego to właściwie jakaś jaszczurka (Agamidae) z północnych wybrzeży Afryki lub środkowej Azji. Odpowiednio powiększona i ozdobiona naroślami przez fantazję średniowiecza, zwróciła na siebie uwagę dzielnego rycerza i po ciężkiej walce padła przebita jego włócznią.

Cyklop olbrzymi z którym Odysseusz rozprawił się skutecznie, posiadał jedno oko duże na środku czoła. Fantastyczna ta postać powstała zapewne w związku z odnalezieniem czaszki mamuta w danej okolicy. Czaszka mamuta, podobnie jak i słonia dzisiejszego — kulista, przypomina rzeczywiście kształtem jakąś wyolbrzymioną czaszkę człowieka. Nozdrza nieparzyste i okrągłe, przesunięte wysoko ku górze, mogły nasunąć anonimowemu fantaście greckiemu porównanie z nieparzystym oczodołem.

Podobnie jak ów Grek, nie poznał się na wykopanych kościach Scheuchzer, lekarz niemiecki, który żył w XVIII wieku. Opisał on szkielet, wykopany w Badenji, jako nogę dużego człowieka, który podczas biblijnego potopu utonął za grzechy. Zginęło wówczas wielu ludzi, zwłoki ich pływały na powierzchni wody, gniły zwolna rozsypywały się i dlatego dziś tak mało odnajduje się szczątków ludzkich. Te i podobne fantazje snuł Scheuchzer w swej książce z roku 1726, zatytułowanej „Homo diluvii testis". Dopiero Guvier, wielki anatom francuski oglądając tę domniemaną nogę, rozpoznał w niej olbrzymią salamandrę i nazwał ją na pamiątkę niefortunnego lekarza: Andreas Scheuchzeri. Dziś jeszcze pokazują ją w muzeum w Harlemie.

Podziwialiśmy wyobraźnię przodków, którzy pozostawili nam w spadku tyle nierealnych postaci, podziwiamy i uśmiechamy się z politowaniem. Tymczasem najprawdziwsza rzeczywistość gotuje nam niespodzianki w postaci kopalnych zwierząt, przerastających rozmiarami i wyglądem wszystko, co stworzyła ludzka fantazja.

Aepyornis, ptak olbrzymi, który wyglądem i sposobem życia przypominał strusia, żył na Madagaskarze jeszcze pod koniec XVIII wieku. Dziś odnajduje się tam jego kości, skorupy jaj, a nawet całe jaja. O rozmiarach samego ptaka świadczy wielkość jaj wynosząca 8—9 litrów. Odpowiada to mniejwięcej 6 jajom strusia lub 148 jajom kurzym. Gdyby nasze kury znosiły takie jaja, jak wielkie pomarańcze musieliby hodo-



Tyrannosaurus Rex.



Dinosaurus.

wać Hiszpanie, aby móc z nami prowadzić handel zamienny?

Gady z ubiegłych epok geologicznych, szczególnie z jury i kredy, były często prawdziwymi potworami. Olbrzymi 30-metrowy Brontosaurus i 24-metrowy Diplodocus, największe ze znanych zwierząt lądowych, chodziły ociężale po ziemi, wlokąc za sobą olbrzymi ogon i pasły się na ówczesnych łąkach. Nieproporcjonalnie małe główki świadczą o małej inteligencji ich właścicieli. Natomiast olbrzymi tułów daje pojęcie o ich apetycie. Nieco młodszy od nich Tyrannosaurus rex, potężny drapieżca na 6 metrów wysoki a 16 długi, hasał po otwartych równinach jak dzisiejsze kangury w Australji. Zdobycz dopędzał łatwo dwudziestometrowymi skokami, a najgrubszy kark kruszył szczękami jak my zapałki w palcach.

Inne gady kopalne, nieco mniejsze, nosiły osobliwe kostne pancerze. Triceratops, kiedy chciał się rozglądnąć po okolicy, wysuwał głowę rogatą z dużego kołnierza kostnego, obitego rogiem. Stegosaurus uginał się pod ciężarem olbrzymich płyt kostnych, które tkwiły pod skórą grzbietu i nadawały profilowi jego ciała wygląd jakiejś niesamowicie zębatej piły.

A czyż wieloryby dzisiejsze, to nie potwory? Ciało ich walcowato wydłużone sięga do 30 metrów długości i waży do 70.000 kg. Do otwartej paszczy możnaby zajechać łodzią czteroosobową z wioślarzami stojącymi u wiosel gdyby nie płyty fiszbinu, zwisające z podniebienia, a zamykające wejście do tego przepastnego wnętrza. Jednym muśnięciem języka rozbiłby taką łódź na drzazgi, bo sam język waży do 400 kg. Rurę głównego naczynia możnaby pociąć na kawałki i przerobić na cylindry, któreby pasowały na najtęższe głowy. Serce wieloryba podobno w miłości mało wprawne, funkcjonuje doskonale jako pompa, która wtłacza za jednym skurczem 50—80 litrów krwi w naczynia.

Głębie mórz zamieszkują ryby fantastyczne złożone właściwie z głowy tylko i żołądka, albo inne bardzo wydłużone mrugające ciągle światłami latarń rozmieszczonych na ich ciele. Obok ryb przemykają ośmiornice o ramionach kilkunastometrowej długości. Te zwiastuny śmierci, która czyha w głębinach oceanów.



Oto, jak wyglądać mogła walka przedpotopowych potworów...



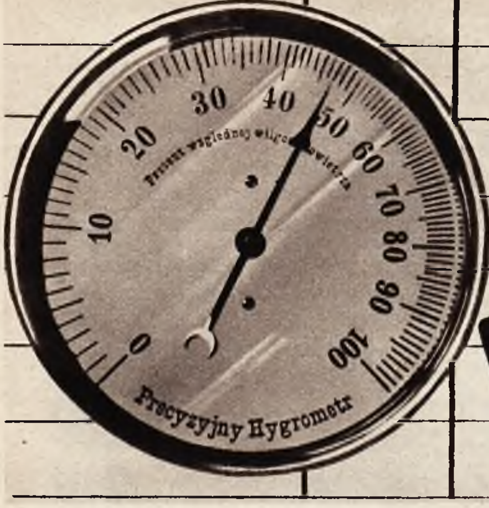
Ostatnio poruszyła świat cały wiadomość, że na wodach jeziora Long Ness w Szkocji pojawił się jakiś dziwny potwór morski, który — wedle zapodań naocznych świadków — kształtami swymi przypominał żywo Dinosaura. Na miejsce wybrało się wielu ciekawych, a wśród nich i ludzie nauki, zwabieni tam możliwością ujrzenia czegoś, co ekscytowało ich wyobraźnię podczas badań szkieletów przedpotopowych olbrzymów. Mimo usilnych starań nie udało się stwierdzić, czy pogłoski o potworze z Long Ness polegały na prawdzie czy też wynikały jedynie z ludzkiej fantazji.

Jakkolwiek było, epizod ten świadczy, że zainteresowania dzisiejszych ludzi dla świata dawno zaginionego bynajmniej nie osłabły. Przeciwnie! Sprawozdania z wypraw głębinowych gdzie, jak to wspomnieliśmy, kryje się jeszcze wiele tajemnic — filmy w rodzaju „King-konga“ lub „Świata zaginionego“ (wedle powieści Conan Doylego) cieszą się daleko większem powodzeniem, niż najbardziej przemyślne tematy powieściowe i nowelistyczne, lub filmy, stojące na najwyższym nawet poziomie artystycznym.

Przypadek, burze, wybuchy wulkanów podmorskich, wyrzucają czasem ciała tych zwierząt na brzegi i wtedy dopiero dowiadujemy się o istnieniu takich nieprzeczuwanych nawet istot.

W następnych artykułach postaramy się przedstawić Czytelnikom niezwykle ciekawe szczegóły o życiu dzisiejszych potworów.

Dr. Z. G.



Budujemy sobie higrometr...

Higrometr czyli przyrząd do mierzenia wilgoci posiada w życiu codziennem znaczenie prawie takie same, jak przyrząd do mierzenia temperatury, czyli termometr.

Od ilości wilgoci, zawartej w powietrzu, a raczej od t. zw. wilgotności względnej, zależy w znacznej mierze nasze t. zw. samopoczucie. Nie dogadza nam ani zbyt mała wilgotność powietrza, czyli powietrze zbyt suche, ani też zbyt duża jego wilgotność i tylko w pewnych niezbyt szerokich granicach wilgotności względnej nasz organizm czuje się najlepiej.

Mówimy tu o wilgotności względnej. Dla wyjaśnienia przypomnijmy sobie, że istnieje też wilgotność bezwzględna. Wilgotność bezwzględna jest to ilość wilgoci w gramach, zawarta w jednym metrze sześciennym powietrza. Przy każdej temperaturze powietrza istnieje pewna maksymalna wilgotność bezwzględna, czyli największa ilość wilgoci, jaka w danych warunkach może być zawarta w powietrzu w postaci pary wodnej. Ta maksymalna ilość wilgoci jest zawarta w powietrzu wówczas, gdy para się skrapla, czyli podczas deszczu, lub mgły. W normalnych warunkach w powietrzu nie znajduje się tyle wilgoci. Otóż stosunek ilości faktycznie w powietrzu zawartej, do tej maksymalnej ilości wilgoci, która w danych warunkach jest wogóle możliwa, nazywamy wilgotnością względną. Wilgotność względną wyrażamy w procentach. Mówiąc zatem, że wilgotność względna wynosi 60%, mamy na myśli, że w powietrzu znajduje się 60% tej maksymalnej ilości wilgoci, która w danych warunkach mogłaby być zawarta w powietrzu w postaci pary wodnej.

A teraz jeszcze jedno: ilość wilgoci, która może być zawarta w powietrzu zmienia się, jak wyżej zaznaczono. wraz z temperaturą. Im wyższa jest temperatura, tem więcej może być wilgoci. W parny dzień letni znajduje się więcej wilgoci w powietrzu, aniżeli w dzień zimowy. Mimo to jednak wilgotność względna jest przeważnie w zimie wyższa, aniżeli w lecie. Jest to tylko pozorna sprzeczność. Będzie to dla nas zupełnie jasne, gdy sobie przypomnimy, że w lecie spowodu wysokiej temperatury wilgotność powietrza maksymalnie możliwa, jest stosunkowo bardzo znaczna. A zatem mimo tego, że wówczas w powietrzu faktyczna ilość wilgoci mierzona w gramach jest duża, to jednak zbliża się ona tylko rzadko do maksymalnej granicy. Stosunek procentowy faktycznie istniejącej wilgoci do maksymalnie możliwej, czyli t. zw. wilgotność względna, jest zatem mała. W zimie natomiast przy niższej temperaturze powietrza maksymalna ilość wilgoci możliwa w powietrzu jest mała i stosunkowo często powietrze zbliża się do tej maksymalnej granicy, czyli wilgotność względna jest duża.

Duża wilgotność względna w powietrzu charakteryzuje nam doskonale powietrze, zarówno w lecie, jak i w zimie, mówiąc nam, czy jest parno i duszno, czy też powietrze jest świeże, czy zbliża się deszcz (duża wilgotność względna), czy też będzie pogoda (wilgotność względna mała, t. j. niżej 60-ciu).

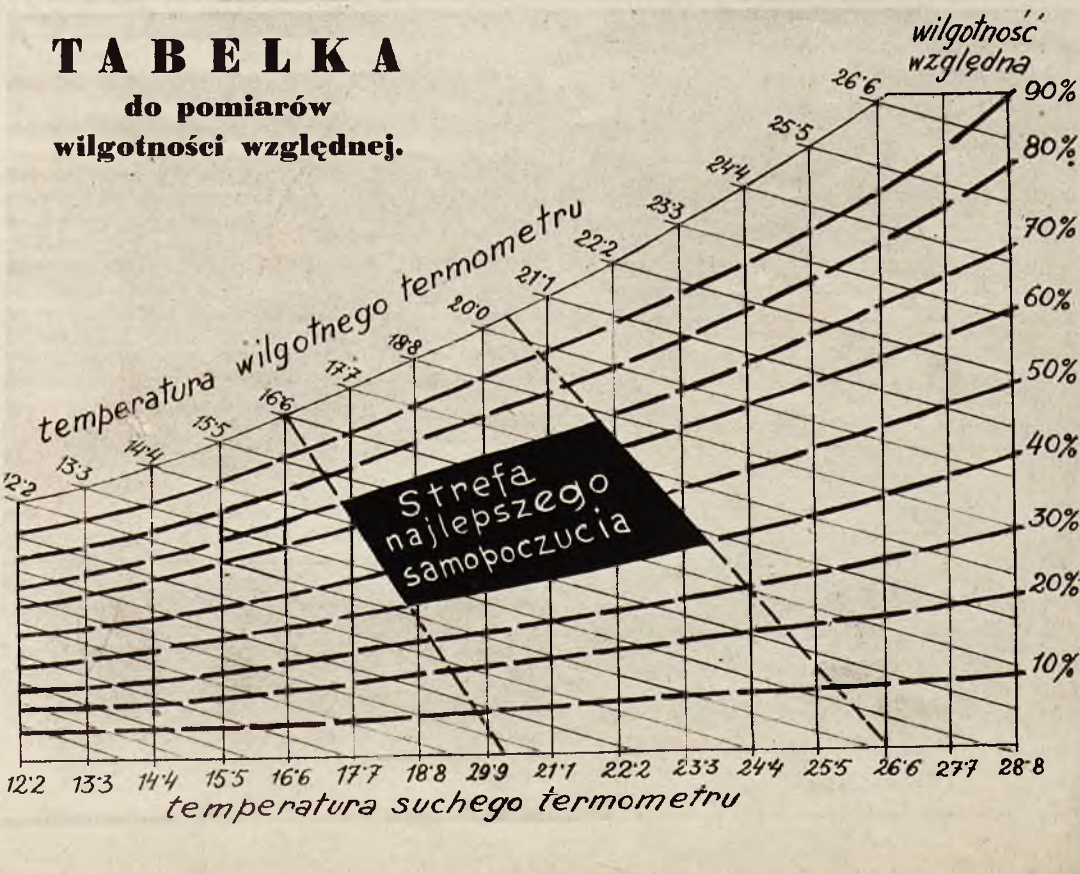
Po tym wstępie teoretycznym, który miejmy nadzieję nie był zanadto nużący, przystąpmy do samej rzeczy. Otóż bardzo prosty higrometr zbudujemy sobie z dwóch termometrów pokojowych na wzór tych, które widzimy na ilustracji. Termometry takie zestawiamy ze sobą ich stroną grzbietową, to jest w ten sposób, by podziałki znalazły się nazewnątrz. Zapomocą kilku śrubek lub kleju spajamy je ze sobą, aby odpowiadające sobie stopnie znajdowały się na tym samym poziomie. Do tak spojonych termometrów przymocowujemy u góry pręt drewniany, który ma być nieruchomo połączony z termometrami. Pręt ten służy nam jako korbka. Możemy go albo wkleić do otwo-

MONTAŻ pojedynczego higrometru.



Higrometr składa się z dwóch zwyczajnych termometrów, zmontowanych grzbietami do góry na wspólnej drewnianej rączce.

TABELKA do pomiarów wilgotności względnej.



rów, najczęściej się w termometrach u góry znajdujących, albo zrobić taki otwór świderkiem i umocować zapomocą śrubki.

Obecnie pod osłonę, znajdującą się nad gałką z rtęcią jednego z termometrów wsuwamy kawałeczek waty, tak, aby gałka była zupełnie watą zakryta. Tę watę zwilżamy kilku kroplami wody. Teraz chwytamy cały instrument za korbkę i obracamy nim kilkakrotnie w powietrzu przez czas pół minuty. Zauważymy, że, podczas gdy przedtem temperatury na obu termometrach były jednakowe, to. obecnie termometr, którego gałka została zakryta zwilżoną watą pokazuje temperaturę niższą, aniżeli termometr po stronie przeciwnej, przy którym zmian żadnych nie przeprowadzaliśmy. Pochodzi to stąd, że woda w wacie parując, oziębia gałkę i obniża jej temperaturę. Parowanie zaś tej wody zależy od wilgotności względnej powietrza i dlatego stopień obniżenia temperatury może być przez nas wyzyskany do obliczenia wilgotności względnej. A mianowicie posługujemy się przytem załączonym wykresem. Na wykresie tym na dolnej linji poziomej wypisane są stopnie temperatury termometru suchego, na linji zaś górnej krzywej wypisane są stopnie termometru wilgotnego. Od poszczególnych stopni termometru suchego wiodą prostopadłe ku górze. Również od poszczególnych stopni termometru wilgotnego prowadzą znowu linje proste, ale ukośnie w bok. A więc np. gdy na termometrze suchym odczytaliśmy 20 stopni, a na termometrze wilgotnym 15 stopni, wyszukujemy miejsce na tabeli, w którem przecinają się linje, prowadzące od liczby 20 na linji temperatur suchego i od liczby 15 na linji temperatur wilgotnego termometru i od tego punktu przecięcia posuwamy się w prawo wzdłuż linji kreskowanej najbliższej danemu punktowi. Na końcu tej linji kreskowanej z prawej strony wypisana jest liczba, podająca wilgotność względną, której poszukiwaliśmy. W tym wypadku jest to 60%. Zupełnie podobnie postępujemy w innych analogicznych wypadkach. Na wykresie zaznaczone jest czarną plamą pole, oznaczające warunki wilgotności i temperatury najlepiej odpowiadające naszemu organizmowi. Tabelkę należy wyciąć i nakleić na kartonie i wówczas z tego instrumentu, którego sporządzenie jest bardzo łatwe, możemy zawsze korzystać. Zwilżenie waty zapomocą kilku kropli wody musi oczywiście nastąpić przed każdym pomiarem. *Inż. A.*

KOBIETA i ZWIERCIADŁO.

Zwierciadło jest tak dawne, jak kobieta, jak grzech pierworodny...

Należy przypuszczać, iż rajski wąż popełzał z Ewą nad brzeg wody, aby uświadomić ją tam w próżności i pięknie odbitej postaci. Wodnego zwierciadła nie można jednak nosić z sobą, a kobieta lubi przechadzki i podróże. To też pierwotny mężczyzna znalazł dla niej najszlachetniejsze kamienie i tarł je krzemieniem tak długo, aż wyszlifował zwierciadlaną taflę. Później polerowano żelazo, bronz, aby tylko kobieta mogła być kobietą i ułatwić sobie podkreślanie i poprawianie przyrodzonego wdzięku, w sposób artystyczny.

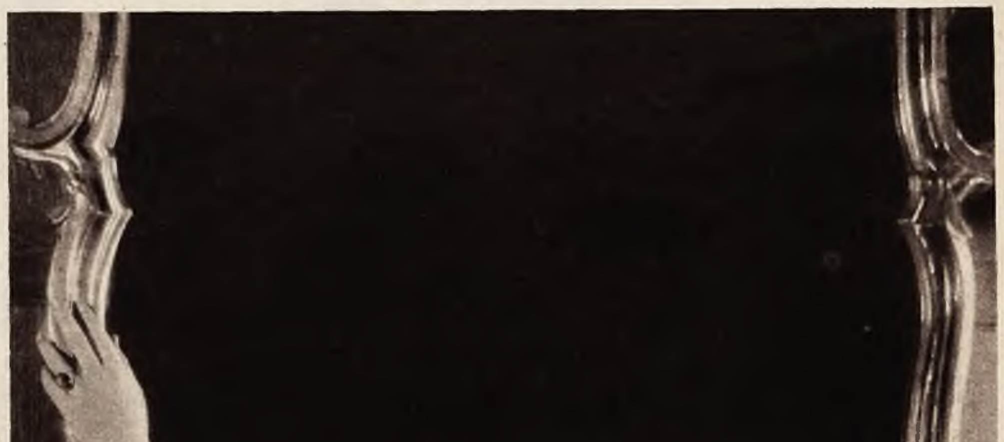
Niewątpliwie ze zwierciadła zrodziła się sztuka plastyczna, a w każdym razie sztuka podobania się mężczyźnie.

Już nadobne Egipcjanki noszą zwierciadełka wykwintnej jubilerskiej roboty, przypięte złotym łańcuszkiem i kosztowną klamrą do fałdów sukni. W ozdobnem, pięknie obramionem zwierciadle robiły rafinowane córki faraonów przegląd swej fryzury, o kunsztownej robocie przewyższającej współczesne arcydzieła naszego Antoine'a Cierplikowskiego. Jak nędzną jest dzisiejsza sztuka salonów piękności w porównaniu z epoką takiej maitress'y kosmetyki, jaką była Kleopatra, wynalazczyni maquilege'u, barwienia paznokci proszkiem brylantowym, Kleopatra, używająca 365 gatunków perfum i wonnych olejków.

Doprawdy, błądząc wśród cacek kosmetycznych króla Tutankhamena w jego grobowcu, dostrzegamy, jak prymitywną jest współczesna epoka, w stosunku do kultury ciała i kosmetycznych stylizacyj faraonowych dam dworu.

Godną spadkobierczynią kultury Egiptu była Grecja, po niej Etrurja. Jeszcze dziś piękne bronzowe zwierciadła, grawirowane artystycznie, wzbudzają zazdrość Angielek, zwiedzających muzea rzymskie i napolitańskie. Przedmioty artystyczne tej epoki, o czem wspomina nawet Plinius, stają się dziś prawzorem dla modeli paryskich wytwórców współczesnej kreacji mody.

Wynalezione w XIV wieku szklane zwierciadła z polewą amalgatu cyny, pochodzą z alchemicznych pracowni i stają się zpoczątku dla prostych ludzi czarodziejskim przedmiotem. Według mniemań ludu, w szklanem zwierciadle tkwiła jakoby nadprzyrodzona magiczna siła, z której rodziły się nietylko



Typ nowoczesnej kobiety, słynna gwiazda filmowa Sylwja Sidney przed zwierciadłem, które podkreśla profil jej subtelnej twarzyczki.

cuda, ale i poetyczne barwne legendy. O królowej Śnieżce, co to wywróżyła sobie z zaczarowanego lusterka, iż zostanie premjowaną pięknością swego kraju; o tajemnej mocy, jaką posiada zwierciadło w noc sylwestrową, kiedy to każda cnotliwa dziewczyna zobaczyć może w zwierciadle swego przyszłego narzeczonego (według treści legendy, cnotliwa nietylko w noc sylwestrową, ale przez całe swoje życie)...

W zwierciadle według wierzeń ludu można w pewnych chwilach przystępu melancholji zobaczyć djabła, albo nawet jeszcze coś gorszego!...

A jakby wyglądała romantyczna historja Fausta, gdyby w drugim akcie znawca kobiet, Mefistofeles nie podsunął swej ofierze Małgorzacie, łącznie z kosztownościami zwierciadła?... Napewno uczciwa Małgorzata oddałaby znaleziony w swym ogródku przedmiot prawemu właścicielowi Faustowi, wskutek czego nie byłoby już sceny altanowej, więziennej i całej tragedji!... Goethe znał kobiety niemal tak dobrze, jak jego zły duch Mefisto.

Powracając do epoki Małgorzaty, przypomnieć należy, iż już wtedy nosiły piękne gotyckie panie, przypięte rzemykiem do szaty zwierciadło, obok książki do nabożeństwa.

Pełny swój triumf święci zwierciadło w epoce króla słońca. Zwierciadlana sala w pałacu wersalskim była szczytem elegncji ówczesnego świata. Ściany tej sali balowej odbijały stokrotnie przepych ówczesnego dworskiego życia, które było jednem nieprzerwanem ani przez dzień, ani noc, barwnem widowiskiem. Taż sama sala zwierciadlana odbiła głupie miny niemieckich delegatów w czasie ich bytności w Paryżu w lipcu 1919 r.

Zwierciadła o współczesnej srebrnej polewie pochodzą dopiero z 1840 r. Wyrabiane przedtem w Wenecji, Murano, Belgji i Czechach zwierciadła były wykonane bądźto z cynfolji, amalgatu cyny, zaś od XIV wieku z amalgatu rtęci.

Dziś jak dawniej w ciągu wieków zwierciadła pełnią swą wierną służbę kobiecie, będąc jej jedyną prawdomówną przyjaciółką.

Nerwowy rytm współczesnego życia wymaga ciągłej baczności, uwagi i ustawicznej korekty estetycznego wyglądu naszych dam.

Często w najtrudniejszej sytuacji życiowej, gdy chodzi o odegranie wielkiej sceny na teatrze życia, zwierciadło ratuje kobietę...

m. d. d.



Angielska karykatura, przedstawiająca modnisię z XVIII wieku przed zwierciadłem.

BANCO!

OPOWIADANIE BŁYSKAWICZNE.

Bardzo chętnie grywam w pokera. Gdy się „filuje" karty, władze umysłowe dochodzą do takiego zaostrzenia, że możnaby niemi papier krajać. Cóż za rozkosz, gdy trzyma się w ręku karetę asów! Każdy przeciwnik przedstawia się wtedy jak nieporadne szczenię.

Zdarzyło mi się, że grając w miłem towarzystwie w tę grę, otrzymałem telegram. Jestem tradycjonalistą i wierzę, że telegram oznacza zawsze albo zgon bogatej ciotki, albo zaprotestowany weksel. Ciotki niestety wszystkie już „wyszły"... Więc...

Ale nie. Brzmiał on następująco: „Ofiarujemy współpracę — tygodnik As, warunki 3000 zł. Prosimy odpowiedź. Redakcja."

Miałem grube wątpliwości, co myśleć o tem. Primo nie był to pierwszy kwietnia, sekundo według jakiego kalendarza (gregorjański, czy juljański, a może wedle Starego Testamentu?) redakcja obliczała te 3000. A następnie... tak wogóle. Pewno jakiś głupi kawał. Ale ktoby wydawał aż 2 złote na głupi kawał? Tego rodzaju żarty robi się gratisowo, w dnie parzyste i nieparzyste, z dostawą do domu.

Ale ten asik mógłby się przydać. Piąty...

Po pewnym czasie byłem zorjentowany. „IKC" wydobył tego asa z ukrycia i zamierzał nim zrobić, jeżeli już nie fula, to w każdym razie „kolor". Pismo to miało wychodzić w różnych kolorach.

Opanowała mnie istna manja. Nastawiłem się na wszelkie *as*-osiacje, wyszukując różne duchowe *as*-*onanse*. Trudno, skoro mnie za-*as*-enterowano, musiałem dostosować się do tonu. Aby się namyśleć na tą sprawą głębiej, poszedłem na całą czarną do *As*-torji, zacząłem się rozczytywać o rewolucji hiszpańskiej w *As*-turji, jakoteż o rewolucji greckiej, w której tak wybitną rolę zagrał jenerał Plastir-*as* i ze wzruszeniem myślałem o losie dzielnego atutowego Waldemar-*asa*. Trudno. Miałem moje z-*as*-ady, więc musiałem przygotować moją współpracę dokładnie. Oczywiście spoczątku praca moja szła od S-*asa* do L-*asa*, ale wkrótce, powiem to wam w *as*-krecji, ułożyłem sobie pewien *as*-pekt, bojąc się, aby mnie nie spotkał despekt.

As-an redaktor wtajemniczał mnie w różne arkana atutowe. Jak się pisze artykuły, jak się „robi" humor, jak to, jak owo. Przedewszystkiem rewizja...

—Wie pan, to najważniejsze. Jak to dobrze z r o b i o n e, to wszystko w porządku.

— No, ale napisać też trzeba — bąknąłem nieśmiało.

— Tak, czasem — odrzekł poważnie.

Wszystko szło bardzo dobrze. Wkrótce komenderowałem jak tatarski *as*-aułła i czułem się coraz bardziej *as*-*cetą*. Razporaz, gdy numer się udawał, chodziłem do dancingu i tańczyłem rytualnego czard-*asa*. Stawałem się coraz bardziej r-*asowym* współpracownikiem, gorzej było z k-*as*-ą!

Niestety, jak mówi francuskie przysłowie: „*L'appetit vient en mangeant*", więc też coraz więcej wkładano mnie w pr-*asę*, z której wychodziłem jak ciało *as*-tralne. To też pewnego dnia, dopalając raryt-*asa*, rzekłem: „P-*as*" i poszedłem na pokera.

Jym

KSIĄŻĘ
z „trente-et-quarante"

Powieść Williama J. Makina. **4** **Tłumaczenie autoryzowane Jana Maleszewskiego.**

ILUSTROWAŁ J. M. BRZESKI

— Kąpiel pańska, sir, jest gotowa — usłyszał głos służącego.

Chesham spojrzał na służącego. Był to silny mężczyzna, który w tej chwili przyjął pozę nieco groźną, aczkolwiek pełną szacunku.

Popatrzyli na siebie przez chwilę.

— Dobrze, dziękuję.

Chesham zawrócił i udał się do swych apartamentów. Gdy zamknął drzwi, usłyszał przekręcenie klucza w zamku. Zamknięto go.

Wyjął papierosa i zaczął puszczać dym nosem, namyślając się nad swojem położeniem.

ROZDZIAŁ VII.

Trudno jest udawać księcia.

Godzinę później Chesham, ubrany w elegancki strój wieczorowy i pokrzepiony kąpielą, siedział w swoim pokoju, paląc papierosa i słuchając radja. Jakiś głos wygłaszał poważne zdania w tonie nadzwyczaj urzędowym, o położeniu ekonomicznem. Łączył się on niejako z dolatującym z ulicy hałasem.

Drzwi się otworzyły, a Juljan, ubrany w galową liberję, w krótkich spodniach, stanął w nich.

— Pan jest oczekiwany, sir — zameldował.

Chesham spojrzał na niego, chcąc odgadnąć jego myśli. Twarz służącego podobna była do maski.

— Świetnie, jestem głodny.

Zgasił papierosa w popielniczce i poszedł za służącym, który prowadził go przez długi korytarz aż do klatki schodowej. Na końcu korytarza służący się zatrzymał i ze szuflady małego stolika wyjął szeroką, czerwoną wstęgę morowa, na której końcu znajdował się order lśniący złotem i emalją.

— Chciałem pana prosić, sir, aby pan był łaskaw włożyć wstęgę orderową na koszulę frakową.

Chesham wziął do ręki podany przedmiot i zauważył z łatwością, że płomienie, które rzucał order, pochodziły z prawdziwych brylantów. W chwili, gdy zakładał na siebie wstęgę, jakiś dziwny lęk go opanował.

— Czy... jest to konieczne? — zapytał służącego.

Twarz służącego nachyliła się do Cheshama nieco. Rzekł przyciszonym tonem:

— Tak jest, sir, konieczne...

Prędkim ruchem Chesham założył wstęgę i poprawił order, który zwieszał się na jego piersiach. Służący przyglądał się jego ruchom z zadowoleniem. A następnie prowadził dalej młodego człowieka przez długi korytarz.

Wkońcu doszli do drzwi, za któremi dały się słyszeć liczne głosy. Goście czekali.

Etykietalnym gestem Juljan otworzył drzwi naoścież i głośno zameldował, stając na progu sali:

— Jego Królewska Wysokość, książę Korawji, Sergjusz Łobanow!

Przybierając odpowiednią minę, Chesham wszedł do sali.

ROZDZIAŁ VIII.

Niech żyje król Korawji!

Obraz, który się przedstawił oczom Cheshama, uderzył go przedewszystkiem różnorodnością osób, znajdujących się w sali przyjęć. Stały one w półkolu i podobnie do lalek, automatycznie poruszanych, raz po raz kiwały głowami. Chesham zauważył, że postacie te miały najrozmaitsze czaszki, zacząwszy od łysych głów, skończywszy na głowach, pokrytych bujną czupryną.

— Wasza królewska wysokość pozwoli, że przedstawię jej obecnych — usłyszał głos koło siebie. Pomimo, że słowa te wyrzeczone były tonem nad wyraz czołobitnym, dał się w nich wyczuć rodzaj rozkazu.

Chesham rozejrzał się i zobaczył drugą postać, która koło niego się znajdowała, patrząc się nań szaremi oczami. Człowiek ten siedział w fotelu, jakiego używają osoby, pozbawione władzy w nogach. Instynktownie Chesham zrozumiał, że chodzi tutaj o Szefa.

— Artretyzm nie pozwala mi chodzić — zaczął Szef — niech Wasza Wysokość raczy mi wybaczyć.

— Mądre głowy nieraz znajdują się w słabem ciele — pomyślał Chesham głośno.

Szef uśmiechnął się.

— Bardzo słusznie. Zawsze byłem tego zdania.

Szef podjechał ze swoim fotelem do końca półkola.

— Książę Sergjuszu, przedstawiam Waszej Wysokości najlepszego syna Korawji, Franciszka Jokaja. Miejmy nadzieję, że te zalety uczynią z niego pierwszego kanclerza pod panowaniem Waszej Wysokości.

Chesham wyciągnął automatycznie rękę do powitania. Przyszły kanclerz uchwycił ją ze czcią i Chesham czuł, że para siwych wąsów spoczęła na niej, a szare, wierne oczy skierowały się w stronę młodego człowieka.

— Znałem ojca Waszej Wysokości — rzekł stary patrjota. Byłem z nim, gdy wybuchła rewolucja i całe życie żałowałem, że nie umarłem razem, gdy lud wdarł się do pałacu królewskiego. Ale dzisiaj już więcej tego nie będę żałować. Widzę jego syna i świta mi nadzieja, że zobaczę również nowego króla Korawji.

Krótka mowa starego patrjoty urwała się, gdyż Jokaj nie mógł ze wzruszenia mówić dalej. Wzruszenie to udzieliło się również Cheshamowi, który z sympatją spojrzał na starego patrjotę. Dziwny zaiste typ w dzisiejszym materjalistycznym świecie!

— Pański patrjotyzm przynosi panu honor i nie będzie zapomniany — odparł Chesham. Jak spędził pan ostatnie dziesięć lat od chwili rewolucji?

Oczy Jokaja zabłysły.

— Żyłem w mojej małej posiadłości w górach i trudniłem się chowem bydła, — odrzekł stary człowiek. Przy tem zajęciu można się nauczyć spokojnej filozofji zwłaszcza, jeżeli się jest człowiekiem gorąco kąpanym.

— Ale mimo to polityka pana ciągnie — prawda? — zapytał Szef siedzący na swoim fotelu.

Uśmiech przebiegł po twarzy Jokaja.

— Skoro chwila odpowiednia nadchodzi, schodzi się ze swych gór i należy się połączyć ze swym narodem na nizinach — brzmiała odpowiedź.

— Dobrze pan powiedział — Jokaj — dorzucił młody człowiek, grający rolę księcia Sergjusza.

Przeszedł do następnej osoby, stojącej w półkolu. Zobaczył postać o wojskowym wyglądzie stojącą wyprężoną jak struna.

— Generał Miksat — przedstawił Szef. Generał ma powierzone sobie przygotowanie wojskowej strony

przewrotu. Przez pięć lat służył we francuskiej Legji Cudzoziemskiej.

— Można się tam nauczyć walki, Wasza Wysokość — dodał generał.

— Ale mówiono mi też, że uczą tam również umierać — uśmiechnął się Chesham.

— Tak, Wasza Wysokość, wojna wymaga nieraz, aby człowiek poświęcił swoje życie — dodał poważnie generał Miksat.

— Również jak i rewolucje — generale. Proszę o tem nie zapominać — zakończył Szef.

— Dajcie mi wojsko, a obowiązuję się wprowadzić Waszą Wysokość na tron przodków — rzekł z entuzjazmem generał.

Chesham wzruszył nieco ramionami. Był zdziwiony, że ktoś mógł przypuszczać, iż będzie miał armję chętną ponieść śmierć dla niego. A jeżeli nie było wogóle armji, to jak dziwną postacią musiał być ten generał! Zastanawiając się nad tem Chesham poszedł dalej.

— Wasza Wysokość pozwoli sobie przedstawić również p. Szaloma Asza, bankiera, wielkiego finansistę — przedstawiał w dalszym ciągu Szef. Królowie zawsze potrzebują mądrych ludzi, aby skarbiec ich był dobrze napełniony. Mam nadzieję, że Wasza Wysokość nie będzie się uskarżać na zdolności p. Szaloma Asza.

Finansista podniósł głowę i uśmiechnął się. Gdy Chesham podał mu rękę, ucałował ją z szacunkiem.

— A jak pan spędza swój czas? — panie Szalom Asz, oczekując tego wielkiego dnia — zapytał się młody Anglik.

Błogi uśmiech przebiegł po twarzy bankiera.

— Jestem właścicielem lombardu, Wasza Wysokość — odrzekł.

Chesham zastanowił się. Ludzie ci bawili się w rewolucję. Jeden z nich zajmował się chowem bydła, drugi był żołnierzem w Legji cudzoziemskiej a trzeci lichwiarzem. Tych trzech ludzi mogło spowodować wojnę i ściągnąć na jeden z krajów Europy krwawe zamieszki. Zamierzali zburzyć istniejący ustrój i wprowadzić rządy monarchistyczne. Oryginalne zajęcia mieli ci ludzie! Lecz nic w tem dziwnego, przewroty polityczne robili nieraz ludzie jeszcze mniej do tego kwalifikowani.

— A tu jeszcze są dwaj panowie, którzy chcą się poświęcić dla sprawy Waszej Wysokości, tłumaczył w dalszym ciągu Szef, gdy Chesham zwrócił się do dalszych osób.

— Przybyli z Korawji i wylądowali samolotem na lotnisku w Croydon właśnie dziś popołudniu — tłumaczył Szef. Opuszczą oni jutro rano nasz kraj z wieściami, że rewolucja lada chwila wybuchnie i że Wasza Wysokość jest gotowa objąć przynależne jej miejsce na tronie Korawji.

Szef zakończył swoje wywody, wymieniając nazwiska obu panów, które brzmiały nieco dziwnie i oryginalnie.



W tejże chwili drzwi otworzyły się powoli..

Podając rękę Cheshamowi obaj panowie skłonili się głęboko, a młody człowiek zapytał się sam siebie, czy nie dosyć już daleko posunięto całą tę farsę? A gdyby tak odwrócił się do nich i roześmiał im się w twarz? Gdyby tak zdarł ze siebie czerwoną wstęgę morową i rzucił ją na ziemię, oraz oświadczył, że nie jest księciem Sergjuszem, lecz Arturem Chesham, poprostu lekkomyślnym graczem, którego zrujnowała ruletka w Monte Carlo?

Z tą myślą odwrócił się. Ręka jego bawiła się orderem wysadzanym brylantami. Widział naokoło siebie półkole, składające się z uśmiechniętych lub poważnych twarzy, wśród których najbardziej poważnym zdawał się być Szef siedzący na swoim fotelu. Zauważył również postać Juljana w liberji. Nie zależało mu nic na nich wszystkich i roześmiał się głośno.

— Panowie — zaczął.

W tejże chwili drzwi otworzyły się powoli, a piękna dziewczyna z tycjanowskimi włosami, ubrana we wspaniałą suknię wieczorową, której urok podnosiły jeszcze cenne brylanty, weszła do sali. Rozchyliła usta w przemiłym uśmiechu.

Młody człowiek, który już chciał zakończyć całą komedję, zadrżał. W chwili, gdy cisnęły się na usta słowa wyjaśnienia, zbliżyła się do niego, stając blisko.

— Panowie — powtórzył Chesham — zdaje się, że należałoby coś zjeść. Proszę za mną.

Podał rękę pięknej dziewczynie w srebrnej sukni i przeszedł pierwszy do sali jadalnej.

ROZDZIAŁ IX.

Spisek organizuje się.

— Ten człowiek musi zginąć.

Rozmowa przy stole przeszła po pewnym czasie na język francuski, gdyż pertraktacje dyplomatyczne wymagają również dyplomatycznego języka... Chesham umiał to ocenić. Jednakowoż brutalne zdanie wypowiedziane przez generała Miksata wprowadziło w rozmowę przykry ton.

— Ten człowiek, Jan Neruda, musi zginąć... — powtórzył generał ostrym tonem, patrząc się w kierunku Cheshama.

Młody człowiek, który właśnie pił dobre wino francuskie i umiał ocenić okoliczność, że dziewczyna z włosami tycjanowskiemi siedziała po jego lewej stronie, uśmiechnął się do generała.

— Oczywiście — rzekł — ale kto... jest ten Jan Neruda?

Odrazu przekonał się, że popełnił dużą omyłkę. Poza nagłem milczeniem, jakie zapanowało wśród delegatów z Korawji, drobna nóżka przycisnęła jego trzewik. Chesham odwrócił się w kierunku swej sąsiadki. Oczy jej jednak pozostawały nad wyraz spokojne i nie zdradzały żadnego wzruszenia.

— Kto się pytał, kim jest Jan Neruda?

Zdawało się, że przylizane włosy na głowie generała chcą stanąć mu dęba z oburzenia. Równocześnie jednak nazwisko człowieka skazanego na śmierć wywołało ogromne wrażenie na obu delegatach, którzy przyjechali samolotem. Na twarzach ich pojawiły się rumieńce.

— Jan Neruda jest największym nieprzyjacielem Waszej Wysokości — zaczął generał. Jest on dyktatorem Korawji. Jest on... zdawało się, że zabraknie mu słów do wyrażenia swej myśli — jest on podłym człowiekiem.

— Oczywiście — rzekł przyciszonym głosem Chesham, wychylając kieliszek dobrego „Château Margaux". — Jest on podłym człowiekiem, dlatego też nie życzę sobie, aby jego nazwisko było wspominane w mojej obecności. Niektórych nazwisk nie należy wymawiać. Dlatego też mówmy o nim jako o — indywiduum.

Zauważył on po tych słowach zadowolenie na twarzy swej sąsiadki i uczuł znowu lekkie przyciśnięcie swej stopy.

— Wasza Wysokość jest światłym człowiekiem — rzekł Franciszek Jokaj, ocierając swe siwe wąsy serwetką. — Lepiej będzie rzeczywiście, jeżeli niektóre nazwiska, które wszyscy znamy, będą wspominane tylko pośrednio. Tem więcej, że nie zebraliśmy się tutaj, aby mówić o morderstwie.

— Nazwijmy to zabójstwem — wtrącił, uśmiechając się, Szalom Asz.

— Morderstwo, czy zabójstwo, to wszystko jedno — zamruczał generał. Nie można zrobić rewolucji bez rozlewu krwi. Jeżeli ten, hm, hm... to indywiduum zostanie usunięte, zaoszczędzi to nam dużo walki, a przez to samo ochroni życie wielu potrzebnych ludzi.

(Ciąg dalszy nastąpi.)



PANI I · JEJ · DOM

BAR W NOWOCZESNEM MIESZKANIU.

Utrzymanie i rozwój życia towarzyskiego spoczywa w rączkach pięknych pań. One to z tradycyjnych, coraz zmieniających się form współżycia bliższych i dalszych kół znajomych tworzą te łańcuchy dusz i umysłów, które zbliża to oddala zmienna fala życia.

Nowoczesna pani domu miała z tą sprawą dość kłopotu, kiedy kawiarnia, dancing, klub i brydż wytworzyły silną konkurencję proszonym obiadom, kolacjom i herbatkom, odrywając swe „ofiary" z przed domowego ogniska.

Ale nie trwało to długo. Urok zacisznej domowej atmosfery okazał się znacznie bardziej pociągającym od zgiełku przedymionych sal.



W skromnej sukience wizytowej (granat podbity białą piką) przychodzi pani na małe zebranie towarzyskie. Taka sylwetka na tle nowoczesnego fotelu metalowego i przy stoliku do zimnych napoi jest szczególnie wytworna.





Małe stoliki odgrywają ważną rolę na przyjęciach domowych, gdy pani domu nie dysponuje większą ilością służby, bo sama w eleganckiej toalecie (tu model z różowej i czarnej marocain) potrafi przy ich pomocy aranżować różne dania.
Na prawo: Praktyczny bar domowy na napoje, szkło i przybory cocktailowe.

Brydż, wesołe pogawędki, taniec przy muzyce radja lub płyt gramofonowych, smaczne domowe wytwory kulinarne, umiejętnie przyrządzone n a p o j e... a nadewszystko miła swoboda w dobrze dobranem gronie, to wszystko ma znacznie większy urok niż klub czy kawiarnia. *Elianne.*

PRZEPISY

odnoszące się do naszego kalendarzyka — obliczone na 3—4 osoby.

Rozbratel z maszynki. 1 kg rozbratli okroić z kości, rozbić pałką i posolić. Utrzeć na tarle marchew, pietruszkę, kilka pieczarek, dodać szczypiórku i zielonej pietruszki. Rozbratle grubo posmarować topionem masłem, na każdy nałożyć łyżkę mieszaniny jarzynowej, zwinąć i owiązać sznurkiem lub spiąć spinaczami. Osmażyć na rozpalonem maśle, ułożyć w rondelku ze szczelną przykrywą, posypać siekaną cebulą i resztą jarzyn i dusić w własnym soku na wolnym ogniu, nie otwierając rondelka. Sos przetrzeć przez sito.

Haché z pieczeni cielęcej. Kawałek pieczeni cielęcej od obiadu zemleć wraz z bułką namoczoną w mleku. Osobno zrobić zasmażkę z łyżki masła i mąki, zalać ją rosołem, dodać soli i białego pieprzu, połączyć z mielonem mięsem, podprawić $1/8$ l. (pół szklanki) śmietany kwaśnej, zagotować. Wyłożoną na salaterkę masę obłożyć sadzonemi jajkami, lub krokietami z ziemniaków. Posypać siekanym szczypiórkiem.

Spaghetti au gratin. 25 dkg. makaronu włoskiego, ugotować w słonej wodzie i ostudzić, następnie układać warstwami w rynce wysmarowanej masłem i wysypanej bułką, przesypując tartym parmezanem, lub serem krajowym. Sera ma wyjść 10 dkg. Wkońcu zalewa się potrawę z 2 jajkami rozkłuconemi w pół szklance mleka, kropi suto masłem i wstawia do pieca na pół godziny.

Dołki czeskie drożdżowe. Do 50 dkg. mąki wkruszyć 2 dkg. drożdży, dodać łyżkę masła, łyżeczkę soli i cukru, 3 dkg. grysiku oraz tyle letniego mleka, aby ciasto było tęgie jak na bułki. Wyrobić doskonale i postawić w cieple na godzinę, aby wyrosło do podwójnej wysokości. Poczem wykłada się na stolnicę, kraje w kawałki, nadziewa suchą konfiturą, formuje knedelki i pozostawia je pół godziny, aby wyrosły. Gotuje się w lekko osolonej wodzie z każdej strony po 3 minuty. Po wyjęciu z wody otwiera się je natychmiast dwoma widelcami, aby nie opadły, polewa rumianem masłem i posypuje tartym białym serem, wymieszanym z cukrem.

Naleśniki szpinakowe. Pół kg. szpinaku obranego, gotować 10 minut, następnie posiekać, dodać 2 żółtka, 6 dkg. mąki, pianę z 2 białek i tyle mleka, aby ciasto było lejące. Wysmażać z tej masy naleśniki, nadziewać siekaną szynką lub podawać tylko posypane parmezanem. Dodatek ryż lub ziemniaczki i zielona sałatka.

Krem czekoladowy: $1/4$ litra śmietanki lub dobrego mleka zagotować z wanilją, dodać 12 dkg czekolady, wystudzić. 3 żółtka utrzeć z 10 dkg cukru i łyżeczką mąki, zmieszać z ugotowaną czekoladą, zaciągnąć na ogniu, odstawić, dodać trzy listki żelatyny, rozpuszczonej w troszce gorącego mleka, mieszać aż do ostygnięcia (nie gotując więcej), następnie wlać do formy wypłukanej zimną wodą i zastudzić na lodzie. Krem wyrzucony na półmisek pokryć bitą śmietanką. Jako dodatek wafle albo biszkopty.

Poncz królewski. 1 kg. cukru zalać szklanką bardzo mocnej herbaty, dodać sok z 8 cytryn, flaszkę półlitrową burgunda, tyleż reńskiego wina oraz rumu lub araku. Naczynie z mięszaniną stawia się na ogniu i ciągle mieszając, mocno się ją rozgrzewa — nie zagotowując.

Poncz pomarańczowy. 3 pomarańcze ponakrawywać lekko z wierzchu i opiec szybko nad płomieniem, poczem kładzie się je do wazy, zalewa dwoma flaszkami czerwonego wina, dodaje kawałek cynamonu i parę goździków. Poncz stać ma przez 6 godzin; od czasu do czasu należy naczyniem potrząsnąć. Wkońcu dodaje się ugotowany i wystudzony syrop z 50 dkg. cukru. Pomarańcze należy przedtem wyjąć i przetrzeć je przez sitko (włosiane!) do wazy.

Sc. Ko.

NOWOSCI KUCHENNE



Żeby nie parzyć sobie palców przy podnoszeniu pokrywek, używa się obecnie specjalnej metalowej rączki, którą widzimy na zdjęciu.

7 ✦ DNI ✦ DOBREJ ✦ GOSPODYNI.

Z dwóch głównych dań obiadu jedno może być w skromniejszych gospodarstwach opuszczone.

Święta rzym.-kat. i żyd.	Tydzień 13 — MARZEC — Dni 31
Niedziela **24** Gabrjela Arch. 19 Weadar	Krupniczek na podróbkach z kury. Kiełbasa paryska panierowana z ziemniaczkami. Kura duszona w śmietanie z ryżem. Strudel z makiem. Kolacja: Zimna polędwica wieprzowa z sałatką ziemniaczaną.
Poniedziałek **25** Zwiast. NPM. 20 Weadar	Zupa grzybowa czysta z płatkami. Płucka cielęce z cytryną i kluseczkami ziemniaczanemi. Nerkówka, purée ziemniaczane. Kompot. Kolacja: Śledzie marynowane, ziemniaki w mundurkach.
Wtorek **26** Emanuela 21 Weadar	Grochówka z grzankami. Kotlety siekane z buraczkami. Wiedeńskie sznycle z jarzynkami. Biszkopt z kremem. Kolacja: Kiełbasa w sosie cebulowym.
Środa **27** Ligji. Ruperta 22 Weadar	Zupa jarzynowa przecierana z smażonym groszkiem. Naleśniki z grzybkami. Baefstyki lub rozbratle prędkie, purée ziemniaczane. Ciastka z kremem. Kolacja: Biklingi, chleb, ser.
Czwartek **28** Sykstusa 23 Weadar	Rosół z grysikiem. Sztuka mięsa z sosem chrzanowym. Bitki naturalne z ryżem. Suflet z konfitur. Kolacja: Naleśniki szpinakowe z szynką.
Piątek **29** Eustachego 24 Weadar	Pomidorówka na śmietanie z ryżem. Spaghetti au gratin. Karp w galarecie z sałatą z czerwonej kapusty. Dołki czeskie. Kolacja: Sałatka majonezowa rybna /: resztki ryby z obiadu/.
Sobota **30** Kwiryna 25 Weadar	Rosół z kaszką lub barszcz z fasolką. Sztuka mięsa z sosem koprowym. Rostbeuf z smażonemi ziemniaczkami i z kiszoną kapustą. Budyń z sera. Kolacja: Kluseczki zapiekane z jajami.

Życie towarzyskie i artystyczne

TEATR W POCIĄGU.

Bynajmniej nie w Ameryce, która jest krajem wszelkich możliwości, ale u nas w Polsce istnieje teatr w pociągu. I to niejeden. Kilka.

Niejednokrotnie na prowincji na zapadłych stacyjkach zobaczyć możemy wagony, zamienione na mieszkania zespołów teatralnych. Przyjeżdżają tu na jeden występ, by znów zniknąć i jechać dalej i nieść wszędzie wysokiej wartości przedstawienia teatralne, szerzyć kulturę artystyczną, kult piękna, poezji i nieskazitelnego słowa polskiego.

Gdybyśmy zajrzeli do wnętrza wagonów, zobaczylibyśmy, że zespoły artystyczne nietylko mieszkają tam, ale także ciężko pracują, przygotowując następne premjery, z któremi przyjdzie im zapoznać nową publiczność. We wnętrzu wagonu odbywają się próby. W niesłychanych warunkach w nieprawdopodobnym trudzie, kształtuje się widowisko, które jest niejednokrotnie jedynem kulturalnem zjawiskiem na prowincji.

Te współczesne teatry wędrowne, zwane objazdowemi, zasługują na baczną uwagę, na specjalne zainteresowanie się niemi, poznanie ich wysiłków i rezultatów pracy.

Teatr wołyński im. J. Słowackiego kierowany świetnie przez Aleksandra Rodziewicza, przemierza w trzech zespołach całe wschodnie kresy, Wołyń, Polesie, zapuszczając się aż po Lublin. **Teatr Ziemi Pomorskiej**, mający stałą siedzibę w Toruniu, pod dyr. W. Brackiego i St. Kordowskiego objeżdża całe Pomorze, a teatr **katowicki** cały Śląsk zarówno polski, jak i niemiecki.

Słynnym teatrem objazdowym była **„Reduta"** J. Osterwy, która i dziś nie przerwała swej w tym kierunku działalności. Pod patronatem swego założyciela wyruszają stale zespoły „Reduty" po całej Polsce, dając wszędzie sumiennie przygotowane, dobre przedstawienia. Obecnie jeden z zespołów gra „Norę" Ibsena, przygotowaną przez Stan. Wysocką „Zemstę", a drugi zespół zapoznaje publiczność z nigdzie dotąd niegraną, ciekawą sztuką Andrzeja Rybickiego p. t. „Biała sowa". Wyreżyserował ją J. Ronard-Bujański, a grają tylko trzej artyści: Joanna Sobotkowska, Burbianka i J. Lubicz-Lisowski.

(swb)



J. Lubicz-Lisowski i J. Sobotkowska w „Białej sowie" Rybickiego.

HIGH-LIFE NA SCENIE.

KRAKÓW



P. Olga Macudzińska jako „ks. Woronzov" z portretu Winterhaltera. Fot. „As".



P. Marja Krzyżanowska jako „Pierette" pendzla Blanchego. Fot. „As".

Niezwykle ruchliwe i zasłużone „Towarzystwo opieki nad Młodzieżą" w Krakowie urządziło ostatnio bardzo ciekawą imprezę sceniczną p. t. „Wieczór galerji żywych obrazów", w której wzięły udział panie z towarzystwa krakowskiego.

Żywe obrazy, nad których układem czuwał prof. A. Karpiński, wypadły nadzwyczaj efektownie. Elita publiczności krakowskiej, zgromadzona w teatrze „Bagatela", oklaskiwała żywo poszczególne fragmenty przedstawienia.

Przerwy między obrazami wypełnił dowcipny skecz I. Szczepańskiej, odegrany przez aktorów-amatorów. Recenzję z wieczoru wygłosił przed ostatnim obrazem red. Zbigniew Grotowski.

LWÓW.



Grupa pań towarzystwa lwowskiego w obrazie „Gawot" — pierwsza od prawej p. Zofja Batycka. Fot. „As".

Koło Pań Polskiego Związku Zachodniego we Lwowie zorganizowało w Teatrze Rozmaitości przepiękną rewję p. t. „Konterfekty i ploteczki z dworu króla Stasia" pod reżyserją utalentowanego autora rewji p. inż. Stefana Miczyńskiego. Pomysłowo skonstruowane obrazki sceniczne zdradziły różne tajemnice życia wytwornych dam królewskiego dworu.

Salę teatru wypełniła po brzegi elita lwowskiej inteligencji, żywiołowemi oklaskami wyrażając uznanie i podziękowanie twórcom niecodziennej, na wysokim poziomie artyzmu stojącej imprezy i paniom z towarzystwa, które kreowały postacie z XVIII w.

Ewolucje wiosennego kapelusza.

Dość trudnem zadaniem byłoby zbadanie źródeł inspiracji mody. Faktem jest natomiast, iż czasami ulega ono dosłownie kierunkom... „skąd wiatr wieje".

Nad wiosennemi kapeluszami powiał również zawrotny wicher i jedne zsunął silnie wtył, odsłaniając nietylko czoło, ale i część fryzury ponad niem. Drugie zsunęły się z nad karku ruchem przeciwnym, spadając silnie na czoło i rzucając lekki cień na rysy twarzy.

Ta forma kapelusza podlega obecnie coraz to innym zmianom, szukając swej krystalizacji poprzez rozliczne i dość fantastyczne typy. Uzyskano je przez zwężanie dużego ronda kapelusza o płaskiej główce, które ztyłu i zboku zwinięte są jakby w ruloniki. Przód pozostaje normalnie, spadając szerszą kresą nad prawem okiem i uchem.

Inna odmiana powstanie, gdy zamiast zwężać sztucznie obwód kapelusza, zostanie jego rondo



Na lewo: Bardzo modny w tej chwili model „tamburino" z płaską kokardą pośrodku i leciuchną woaleczką (Violette Maran)





Powyżej: Charakterystyczny kapelusz z dżokejskim daszkiem i pękiem kwiatów z tyłu głowy (Worth). — Na lewo: Duży model „capeline" o pięknej linji ronda, wykonany z czarnego aksamitu (Goupy).

poobcinane w ten sposób, że tylko nad czołem tworzy się szeroki daszek dżokejski.

Jest to jeden z najtypowszych modeli wczesnej wiosny, który lansuje Patou do kostjumów sportowych. Fason trochę śmiały i dość nieoczekiwany, ale tem właśnie zwycięża w tej chwili wśród dużej konkurencji, zwolna ustalających się form, obok drugiego „asa" tego zesonu, który wzoruje się na... tamburinie. Takie płaskie „coś" z filuterną woaleczką jest odmłodzoną jakby formą kapelusza, w którym wielu paniom będzie prawdziwie do twarzy.

Flor.

„Bądźmy młodzi i piękni“!

RECEPTA
CHIŃSKIEJ LADY.

Chińska lady ma najpiękniejsze w świecie ręce; wie jak ich używać, nie wykonuje niemi wielu ruchów, a zwłaszcza żadnych gwałtownych, bo to nie byłoby zgodne z jej typem.

Poznałam raz taką chińską damę. Siedziała spokojnie, skrzyżowawszy na kolanach swe wąskie białe ręce, w ten sposób, że można było podziwiać ich doskonały kształt, starannie wymanicurowane paznokcie, ich piękno, wreszcie swoisty wyraz i charakter. O rękach tych mogłabym powiedzieć, że posiadały one swoją osobowość.

Czy Chinki już z natury posiadają piękne i pełne wyrazu ręce? Niekoniecznie. Poprostu umieją one je odpowiednio pielęgnować. W Londynie istnieje specjalny salon kosmetyczny, który zajmuje się jedynie pielęgnowaniem rąk, przyczem manicure odgrywa rolę bardzo ważną, lecz nie dominującą. Właścicielką jest pewna tajemnicza lady, która podobno po nadzwyczaj burzliwem życiu w Chinach postanowiła zarabiać na utrzymanie, zdradzając jedynie jej znane tajemnice kosmetyczne. Pani ta swemi rękami oczarowała, jak wieść niesie, członka dawnej







rodziny cesarskiej, który... Ale zostawmy te bajki. Tajemniczej lady nikt nie widział i nie zna, sam fakt jednak, że mówiono o jej istnieniu wystarczył, by salon miał olbrzymie powodzenie.

Pracownicy londyńskiego salonu traktują każdą rękę indywidualnie. To, czy będą ją się starali uczynić białą, z długiemi, polakierowanemi na fantastyczny, modny kolor paznokciami, czy też paznokcie przypiłują krótko i pozostawią im kolor naturalny, a skórze nadadzą odcień opalenizny, zależeć będzie od typu danej kobiety i kształtu jej ręki. Ostre, długie paznokcie polakierowane na zielono ,lub krwisto tak samo razić będą u kobiety-sportsmenki, jak opalona i niewydelikacona ręka przeszkadzać nam będzie u lwicy salonowej.

Metody stosowane przez pracowników salonu londyńskiego są bardzo proste. Dla wygładzenia i wybielenia rąk używają gliceryny z cytryną lub jakiegoś kremu, a dla nadania jej odcienia bronzowego, znów innego. Przy manicure uważają, by nie zniszczyć paznokci i zupełnie nie używają nożyczek. Skórkę obsuwa się, paznokcie piłuje, a o ile zaś mają one skłonność do pękania, kąpie się je przed polakierowaniem przez 10 minut w ogrzanej oliwie.

Każda z naszych pań napewno potrafi sama, czy z pomocą swej manicurzystki uczynić to samo, co robią w salonie tajemniczej damy z Chin. Musi jedynie umieć określić, jaki reprezentuje typ i jakie posiada ręce. Jeżeli są piękne, niech stara się zwrócić na nie uwagę, jeśli nie, to trzeba je raczej ukrywać. Na bardzo długie paznokcie i fantazyjny lakier mogą sobie pozwolić jedynie kobiety o bardzo ładnych rękach. Najważniejszem jest jednak, by zwracać uwagę na swe ruchy. Estetyczne ruchy, a zwłaszcza rąk, w znacznej mierze stanowią o wdzięku każdej kobiety.

Carmen.

CO MĘŻCZYZNĘ RAZI U KOBIETY?

Mały wywiad.

— Mam do pana wielką prośbę, nie tyle w swoim, ile „Asa“ imieniu.

— Czyżby „broń Boże“ wywiad?

— Tak, lecz tym razem interpeluję pana jako znawcę kobiet.

— Wie pani, tego rodzaju moje enuncjacje mogłyby być nie całkiem dobrze widziane u pewnych dam, z powodów, które pani chyba rozumie...

— Więc poprostu nie wymienimy nazwiska i stanowiska pana.

Przemilczałam, że niezbyt trudno można się będzie domyśleć osoby mego rozmówcy, dzięki czemu zdecydował się on na wypowiedzenie kilku cennych uwag:

— Mam znajomą, która, jak długo siedzi, jest bardzo piękną kobietą, lecz gdy tylko wstanie ze zgarbionemi plecami, wysuniętym naprzód brzuchem i pochyloną głową, natychmiast przestaje się podobać. Nie jest to przytem jej naturalna postawa. Poprostu wmówiła sobie, że jest na kobietę za wysoką i w tak niemądry sposób stara się wadę tę usunąć.

— Złe trzymanie się, nagłe ruchy, a zwłaszcza brzydki chód, to wady, u naszych pięknych pań bardzo powszechne. Widocznie nie zdają one sobie sprawy z tego, że nietylko same tracą przez to 90% uroku, ale i suknie o wiele gorzej na nich wyglądają. Fakt ten można zresztą łatwo zaobserwować. Czy nie zauważyła pani nigdy, o ile korzystniej wyglądają stroje na umiejących się pięknie poruszać manekinach, niż na czasem nawet bardzo pięknych paniach z towarzystwa?

— Są to zresztą wszystko wady, które bardzo łatwo można usunąć. Kobieta musi poprostu uważać na to, by trzymać się prosto i unikać tego, co w jej chodzie, względnie ruchach jest brzydkie, np. zbytniego drobienia, chodzenia na boki, sztywności, szorstkich, lub nieopanowanych ruchów. Dużo uwagi też należy poświęcić sukniom. Mogą one być skromne, tanie, ze złej materji, ale gustowne i dobrze skrojone.

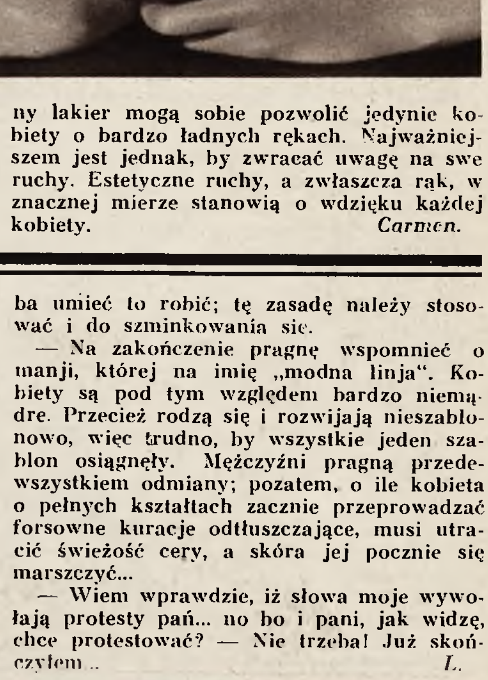
— Jest rzecz, która jeszcze bardziej, niż ruchy, potrafi oszpecić kobietę: to złe malowanie się! Przecież niektóre panie poprostu robią ze sobie karykatury! Zastanawiam się tylko, czy im samym się to podoba, czy też jest to poprostu wypływem nieumiejętnego operowania kredką i różem. Jeżeli mężczyzna spogląda na twarz, ukrytą pod grubą warstwą kremów, pudru i farby, mimowoli przychodzi mu na myśl, że schowana pod tą powłoką skóra nie może być zbyt piękną... Kobiety zapominają też, że zawsze odczuwamy największy sentyment dla tego, co świeże i naturalne. Ale wolę cofnąć te słowa, o ile pod ich wpływem panie miałyby wogóle zaprzestać używania szminek i pudrów. Na to pozwolić sobie mogą jedynie bardzo młode i tylko te, które mają ładną cerę.

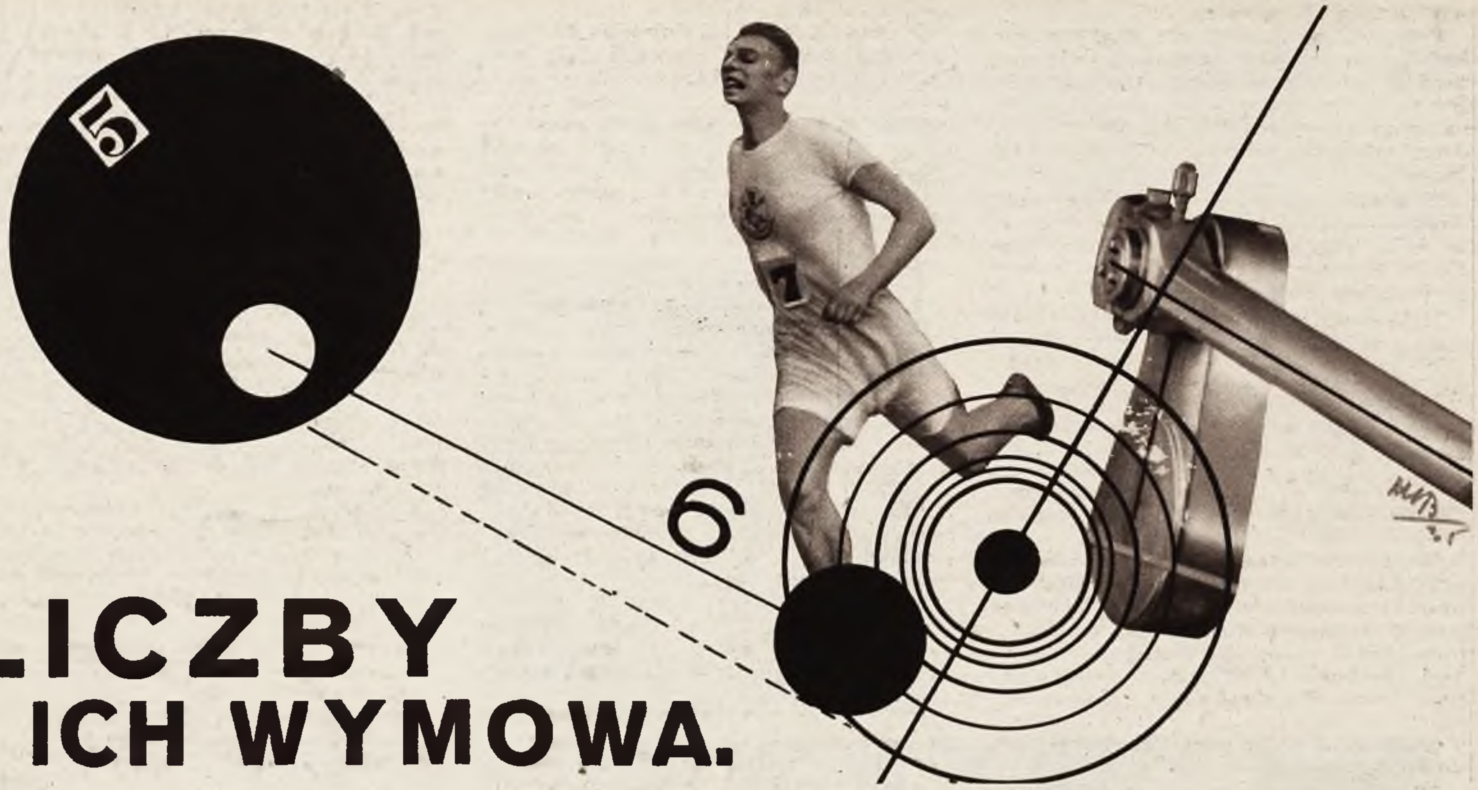
— Trochę szminki i pudru jest dziś koniecznością. Jednak cokolwiek się robi, trzeba umieć to robić; tę zasadę należy stosować i do szminkowania się.

— Na zakończenie pragnę wspomnieć o manji, której na imię „modna linja“. Kobiety są pod tym względem bardzo niemądre. Przecież rodzą się i rozwijają nieszablonowo, więc trudno, by wszystkie jeden szablon osiągnęły. Mężczyźni pragną przedewszystkiem odmiany; pozatem, o ile kobieta o pełnych kształtach zacznie przeprowadzać forsowne kuracje odtłuszczające, musi utracić świeżość cery, a skóra jej pocznie się marszczyć...

— Wiem wprawdzie, iż słowa moje wywołają protesty pań... no bo i pani, jak widzę, chce protestować? — Nie trzeba! Już skończyłem ..

L.





LICZBY I ICH WYMOWA.

Warto czasem pomówić o liczbach. Pogadanki na ten temat posiadają swoisty urok, polegający na pewnem psychicznem zaskoczeniu czytelnika, czy słuchacza, który rzadko kiedy potrafi należycie ocenić ogrom i znaczenie liczb.

Świat liczb. — Świat harmonji, ładu, piękna. — Świat czaru i tajemniczej mistyki. — Słowa ubierające w symbol wielką i nieznaną tajemnicę wszechświata. — Warto nieraz powrócić do tego świata.



...stal przetopiona z wieży Eiffla wypełniłaby kostkę metalową o krawędzi zaledwie 10 metrów długiej...

W tym świecie, w świecie liczby, nieśmiertelny Pitagoras, szukał genjalnych myśli. — W tym świecie dochodził do poznania wielkiej prawdy, którą tak oto wyrażał:

— Niebo jest harmonją i liczbą. Jedność jest początkiem wszystkiego. Bóg jest jednością pierwotną. Istnieje jeden Bóg, który wszystkiem rządzi, zawsze jeden, zawsze sam, niezmienny, różny od wszystkiego!

Ze świata liczby rodziły się słowa mistrza. — Z liczby powstaje harmonja; liczba jest wszędzie, wszędzie więc powinna być harmonja. Harmonja kształtów jest pięknością — harmonją życia, cnotą; harmonja myśli mądrością. Celem życia jest zjednoczenie z Bogiem na drodze piękna, mądrości i cnoty..

Ale te głębokie słowa dalekiego mędrca, ileż razy rozbrzmiewały po nim z ust tych, co w świecie liczb starali się znaleźć wyjście z pogmatwanego chaosu zjawisk otaczającego ich świata i tzw. rzeczywistości?

Nie mamy zamiaru pisać traktatu na temat znaczenia liczb. Wstępne zdania, rzucone na marginesie rozważań, mają tylko uprzytomnić tym, którzy wzdrygają się na słowo „matematyka”, że nauka o liczbie jest najwyższą zdobyczą w dziedzinie wiedzy, jaką człowiek osiągnął.

Na niejednym przykładzie i przy niejednej sposobności można się łatwo przekonać, jak często nie doceniamy wielkości, któremi w życiu codziennem i w potocznej mowie tak łatwo szafujemy. A prosty rachunek, zrobiony na ćwiartce papieru, łatwo nas o tem przekonać może.

Człowiek, nawet współczesny, obznajomiony z wieloma arkanami matematyki, nie ma zmysłu do pojmowania wielkości i do wyobrażenia jej sobie. Pojęcia wielkości — zresztą bardzo względne — zastępujemy symbolem, a z różnic istniejących między symbolami, staramy się wnioskować o różnicach, zachodzących między odpowiadającemi tym symbolom pojęciami.

Nawet dziś, gdy dzięki zawrotnym chyżościom okrąg ziemi zmalał, gdy śmiały duch ludzki wydziera się poza nikłą planetę na inne, dalsze, a zawrotne tory, nawet i dziś, gdy tysiące, a nawet miljony przebytych kilometrów przez mechaniczne pojazdy, są dla nas czemś zgoła oczywistem, nie umiemy zdać sobie sprawy z ogromu liczb, jakiemi operujemy.



...pod stopą tego posągu zmieściłaby się niejedna z wielkich budowli ludzkich...

Stary Lukrecjusz mówi o małem słońcu. — Bystry naturalista, który dawno przed nami mówił o atomach, w chwili gdy mówi o słońcu, ulega złudzie zmysłów i twierdzi:

— Nie wiele większem jest słoneczne koło od gorejącego dysku, jaki widzimy. (De rerum natura).

Już Anaksagoras popełnia w stosunku do tego poglądu nie bylejaką eks-



...po obu stronach tego muru zmienilibyśmy do gruntu stosunki klimatyczne...

trawagancję, twierdząc, że słońce jest większe od Peloponezu.

Pewna i jasna dla nas oczywistość, byłaby nie do pojęcia dla tego starego mędrca. Co więcej, — my sami nie zdajemy sobie sprawy ze słonecznego ogromu, albowiem trudno jest znaleźć drogę od liczby do uzmysłowienia sobie jej treści.

Objętość słońca jest 1,297.000 razy większa od objętości ziemi. Wyrażona w milach geograficznych wynosi ona 3.500.000.000.000.000, czyli trzy tysiące pięćset biljonów.

Mila geograficzna nie imponuje nam znowu tak bardzo. To zaledwie 7,5 km. Wolnym spacerkiem odległość taką przebyć można w niecałe dwie godziny. A cóż znaczy taka przestrzeń dla Kusocińskiego, Nurmiego, czy innego światowej sławy biegacza?

Jakże jednak inaczej przedstawiłby się nam posąg człowieka wysoki na milę geograficzną?

Małe wgłębienie stopy tego posągu, przy utrzymaniu proporcyj anatomicznych, urosłoby do takiej wielkości, że pod utworzonem w ten sposób sklepieniem zmieściłaby się niejedna z wielkich budowli ludzkich. Dwadzieścia pięć piramid egipskich i to największych, ustawionych jedna na drugiej, sięgałoby takiemu pomnikowi zaledwie do lędźwi.

To mila geograficzna na wysokość. Cóż rzec dopiero o mili kwadratowej, — a co o sześciennej?

Gdybyśmy ze wschodu na zachód wybudowali mur o powierzchni mili kwadratowej, to po obu stronach tego muru zmienilibyśmy do gruntu stosunki klimatyczne. Po południowej stronie tego muru mielibyśmy roślinność niemal tropikalną, po drugiej szalałaby zima!

Uzmysłowieniem mili geograficznej sześciennej zajął się przed blisko siedemdziesięciu laty znany naturalista Bernstein.

Posłuchajmy co o tem mówi.

Gdybyśmy do skrzyni wysokiej na milę geograficzną o dnie, mającem powierzchnię kwadratowej mili geogr., złożyli materjał budulcowy, zużyty na zbudowanie wszystkiego, co wzniesione rękoma ludzkiemi istnieje na ziemi, — dosięglibyśmy zaledwie połowy skrzyni. Cała ludzkość, złożona na gruzy budowli, utworzyłaby zaledwie warstwę grubą na 20 metrów, czyli że do zupełnego wypełnienia skrzyni po brzegi brakowałoby 200 razy tyle ludzi, ile jest ich obecnie na ziemi.

Także cały świat zwierzęcy nie wystarczyłby do zapełnienia skrzyni i trzebaby było sięgnąć do drzew i skał, ażeby całkowicie zasypać tę tak pozornie małą czeluść.

Powie ktoś, czytający te słowa, że nas obecnie nie obowiązuje wyliczenie zprzed 70-ciu lat, że obecnie mamy o wiele więcej ludzi i budowli, że łatwiej byłoby dziś zasypać taką skrzynię. Jasnem jest, że należy poprawić cokolwieczek ten rachunek, ale nie tak bardzo znowu, jakby się to komuś zdawało. Wszystkie dotychczas zbudowane, a tak imponujące nam swoją wielkością, amerykańskie niebotyki, wszystkie nowoczesne wieże Babel, — znikną łyby w czeluści jako mało znacząca dosypka.

Skoro już jesteśmy przy temacie kubatury, to nadmienić należy, że w tej dziedzinie, jeśli chodzi o uzmysłowienie sobie przestrzeni, nader łatwo o pomyłki i to kolosalne.

Któżby pomyślał, że materjał użyty do budowy wieży Eiffla, po przetopieniu go, wypełniłby całkowicie kostkę metalową o krawędzi zaledwie 10 metrów długiej! Któżby uwierzył, że materjał lodowy, zawarty w lodowcu Rodanu, starczyłby na zbudowanie dwóch takich miast, jak Londyn!

Tak wygląda mila geograficzna sześcienna. Jak trudno ją sobie wyobrazić! Cóż więc powiedzieć można o pudle, mającem objętość 3.500.000.000.000.000 mil sześciennych?! Taką objętość ma słońce.

Ile tam zmieściłoby się Peloponezów Anaksagorasa? — może ktoś z czytelników na to odpowie.

Ciekawy, bardzo ciekawy jest świat liczb. Odsłania wiele tajemnic. Uczy patrzeć, poznawać i rozumieć!

SAM.



3 WIZYTÓWKI.

T. Ksenia Psoty

St. Rower-Sekta

Dr. I. Roman Taist

Na uwidocznionych wyżej wizytówkach widnieją trzy nazwiska, których litery należy odpowiednio przestawić, by w ten sposób uzyskać określenie zawodu poszczególnych właścicieli tych nazwisk.

Ułożył: Adam Totoś — Kraków.

ANAGRAM OBRAZKOWY.



Obok zamieszczony „anagram obrazkowy“ przedstawia znane polskie przysłowie. Kto chce je odcyfrować, musi litery, wypisane pod obrazkiem, odpowiednio ułożyć, biorąc pod uwagę przedewszystkiem treść samego rysunku.

Anagram ułożył: Adam Totoś — Kraków.

To warto poznać..



Prawdziwy miłośnik teatru z żalem narzeka, gdy nie może być obecny w Warszawie, by ujrzeć ostatnie bardzo ciekawe i warte poznania premjery. **„Krysia“ Szaniawskiego** (Teatr Narodowy) wzbudziła duże i zupełnie zasłużone zainteresowanie. Choćbyśmy nie zawsze godzili się z ideą Szaniawskiego, nie zawsze byli zadowoleni z nieuchwytnej treści sztuki, to jednak świetna forma dramatyczna utworów laureata państwowej nagrody zawsze nas zainteresuje i zachwyci. Sztuki Szaniawskiego mają prawie zawsze dobrze nakreślone postacie i wyborne do grania role. Tak jest też i w „Krysi“, doskonale granej, zwłaszcza przez Zelwerowicza, Znicza, Chmielewskiego i Wasiutyńską.

„Matołek z wysp nieoczekiwanych“ Shawa (Teatr Polski) wywołał olbrzymią wrzawę, gdyż prawie nikt go nie rozumie, a wszyscy z rozkoszą go słuchają. Boy-Żeleński bezpośrednio po premjerze powiedział, że jest to „coś pośredniego między kabaretową rewją a Apokalipsą św. Jana“. Widz zasypany huraganem paradoksów, nieoczekiwanych zestawień i sytuacyj, słuchając nie rozumie nic, potem na ochotę wypić parę wódek, by zwolna pojmować niezwykły utwór Shawa. Grany on jest świetnie i wspaniale przygotowany przez inscenizatora i reżysera Al. Węgierkę.

W teatrze „Comoedia“ zasługuje na poznanie dobrze przez Poredę przygotowany **„Kordjan i Cham“ Kruczkowskiego**, a w „Ateneum“ **„Dzieje jednego pocisku“**, przeróbka głośnej powieści **A. Struga.**

(swb)

NOWE KSIĄŻKI.

I.

Które się już ukazały.

Franciszek Körmendi, autor węgierski, który wypłynął niespodziewanie na fale literatury w konkursie powieściowym „Timesa“ i swoją powieścią **„Versuchung in Budapest“** wzbudził sensację na światowym rynku — daje nam drugą już powieść — **„7. 15 via Bodenbach“**, powie - wysokiego kalibru. Wydana przez Gebethnera i Wolffa, tłómaczona przez Węgra doskonale operującego językiem polskim daje ta powieść karty znakomite i pozostaje na długo w pamięci czytelnika. Będzie ona napewno jedną z najulubieńszych książek polskiej publiczności w tym roku.

Niełatwą książką ale wysokiej klasy jest romans słynnego już dzisiaj pisarza francuskiego Andre Malraux, który w swojej **„Doli człowieczej“** (Wyd. „Rój“) dał przekrój nędzy chińskiej i opisał usiłowania rewolucyjne w Szanghaju. Powieść ta napisana przez artystę bardzo subtelnego posiada stronice o znacznem napięciu. Zwiastuje ona talent, który będzie miał niejedno do powiedzenia w literaturze francuskiej.

Kto lubi egzotyczne opowiadania Travena, Niemca pochodzenia meksykańskiego, którego powieść **„Okręt śmierci“** była doskonałą próbą — ten zwróci się do opowiadania **„Bawełna i krew“** albo **„W jarzmie“** (wyd. P. T. P. K.), które nie dorównują wspomnianej przed chwilą powieści, ale pisane są z rozmachem i barwnie. Traven jest gawędziarzem nader miłym i potrafi poprowadzić intrygę.

(g).

II.

Które wyjdą.

Aleksander Janta - Połczyński, autor szeregu interesujących reportaży z rozmaitych stron świata, napisał książkę o swoich wrażeniach z pobytu w stolicy filmu, Hollywood. Książka ta zatytułowana jest: „Stolica srebrnej magji“. Będzie to pierwsza w polskiej literaturze książka na temat amerykańskiej „fabryki snów“. Autor starał się pokazać Hollywood takiem, jakiem ono jest naprawdę.

M. B. Lepecki odbył niedawno daleką podróż na Syberję do miejsc zesłania Józefa Piłsudskiego. Podróż ta posłużyła mu do napisania reportażu, ujętego w formę wspomnień z pobytu Marszałka Piłsudskiego na Syberji. Książka, ozdobiona 12 planszami Czermańskiego ukaże się niebawem nakładem „Roju“.

Barwne szkice z dziewiczych krańców Ameryki zebrał Arkady Fiedler w ciekawej książce „Ryby śpiewają w Ukajali“. Zbiór szkiców podróżniczych ukaże się nakładem „Roju“.

NOWE PŁYTY.

Marlena Dietrich przy znakomitym akompanjamencie orkiestry, pod dyrekcją M. Piotra Kreudera — śpiewa dwie piosenki. „Wo ist der Mann?“ (Kreuder-Gerhardt) Polidor 25300 B. i „Assez“ (Wal - Berg - Stern-Tranchant) Polidor A 25299.

Na płytach polskich Columbia ukazały się dwie nowości: „La Cucaracha“ — w wykonaniu orkiestry Geralda i „C'est lui“ (Geogers Van Parys) w wykonaniu sławnej Józefiny Baker, która niedawno śpiewała tę piosenkę przed mikrofonem podczas nakręcania filmu „Zuzu“. DM 19 72 i DM 19 70.

Doskonały Bing Crosby śpiewa przemiłą piosenkę p. t. „Good Night lovelly little Lady“ (Gordon-Revel)). Brunswick A 9558.

Mills Brothers — znani w Polsce z filmu „Świat słucha“ — śpiewają na płycie Brunswick A 3343 „Dirt Dichin' Daisy“ (Klein-Harscher).



Bing Crosby.

„Alice in Wunderland“ to tytuł foxtrotu (Tobias-Scholl-Meucher) granego koncertowo przez orkiestrę James'a Kok z refrenem śpiewanym przez zespół Humoresk Melodies. Polidor 10235 B.

Tadeusz Faliszewski śpiewa dwie piosenki z filmu „Piotruś“ p. t. „Jak ty mój śnie“ — tango, i „Dzisiaj tak mi jakoś dobrze“ — fox. Syrena 9427.

Sławne w całej Ameryce „Negro Spirituals“ — stare pieśni religijne murzynów z nad Misisipi— u nas prawie zupełnie nieznane, znajdujemy na płycie Dekka F. 3486. Tytuł jednego utworu w wykonaniu barytona J. Bledsoe — brzmi: „Going to Shat all ower God's Heaven.

(jot)



Niedziela, 24 marca.

12.15: Poranek muzyczny z Filh. Warsz. W przerwie ok. g. 13—13.15: Teatr Wyobraźni nadaje fragment słuchowiskowy z „Marchołta“ Jana Kasprowicza.

17.00: Piosenki w wyk. Chóru Dana.

20.00: Muzyka lekka.

22.15: Koncert złożony z utworów Edwarda Griega.

Poniedziałek, 25 marca.

13.00: Brahms: Kwartet fortepianowy g-moll op. 25.

17.00: Audycja dla dzieci: Opowiadanie z piosenkami p. t. „Jak się bracia miesiączkowie kłócili ze sobą“ (legenda ludowa). M. Dynowska.

18.45: Piosenki Imperio Argentyny — płyty.

21.00: Koncert symfoniczny w wyk. Orkiestry Symf. P. R. pod dyr. Grzegorza Fitelberga.

Wtorek, 26 marca.

16.20: Opowiadania dla dzieci młodszych wygłosi Stary Doktór.

19.35: Duet saksofonowy. Wykonawcy: Henryk Ogurek i Mieczysław Hohermann.

21.00: Komedja muzyczna „Piosenka o Nadinie“, muz. E. Straussa. Przekład M. Hemara, radjofonizacja i reż. Tad. Laskowskiego.

Środa, 27 marca.

13.00: Koncert Tria Jana Dworakowskiego.

15.45: „Popularne suity“. Koncert w wyk. Ork. Kameral. pod dyr. Adama Hermana.

21.00: Koncert chopinowski w wyk. Marji Wiłkomirskiej.

Czwartek, 28 marca.

12.30: Muzyczny poranek szkolny z Filharm. Warszawskiej.

13.10: Dalszy ciąg koncertu szk. z Filharmonji Warszawskiej.

17.15: Teatr Wyobraźni nadaje słuchowisko z okazji 250-tej rocznicy urodzin Jana Sebastjana Bacha.

21.00: Koncert wieczorny.

Piątek, 29 marca.

12.05: Koncert Orkiestry Kameralnej z Wilna.

20.15: Koncert symfoniczny z Filharmonji Warszawskiej.

Sobota, 30 marca.

15.45: Koncert popoularny w wykonaniu Orkiestry P. R. pod dyr. Józefa Ozimińskiego z udziałem zespołu solistek szkoły śpiewu Margot Kaftal.

17.10: Najnowsze nagrania na płytach.

17.50: Pogadanka Brunona Winawera.

18.00: „Teatr Wyobraźni“. Słuchowisko dla dzieci.

20.00: „Micro-Music-Excentric“, audycja amerykańska w opracowaniu A. Fleischera.

21.06: Koncert symfoniczny w wykonaniu Orkiestry P. R. pod dyr. G. Fitelberga.

ZAKŁADY GRAFICZNE „ILUSTROWANEGO KURYERA CODZIENNEGO“ W KRAKOWIE POD ZARZĄDEM FELIKSA KORCZYŃSKIEGO.